№ 51. Warszawa, dnia 17 (5) Grudnia 1887 r. Rok VII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Złota Nr. 23.**
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Prosimy szanownych abonentów naszych o wczesne nadsyłanie przedpłaty. Przy końcu miesiąca bieżącego prześlemy prenumeratorom **rocznym** dodatek nadzwyczajny, pierwszą część **Historyi XIX w.** Ci, którzy trzymali pismo nasze tylko przez ostatni kwartał a pragną posiadać książkę, zechcą dopłacić rs. 1, którzy trzymali przez pół roku 75 kop., a przez trzy kwartały — k. 50.

Uwaga. Oprócz dodatku nadzwyczajnego, abonentom naszym należy się 5 arkuszy zwyczajnego. Ponieważ warunki wydawnicze i przepisy pocztowe nie pozwalają nam przesyłać odrazu dwu dodatków, zatem w pierwszym kwartale r. 1888 ów dodatek zwyczajny będzie powiększony i zawrze 11 arkuszy druku.

POLITYKA.

W POPŁOCHU.

Świat polityczny przedstawia dziś obraz nocy... operowej: choć wszyscy krzyczą wzajemnie, wcale się nie słyszą; choć sobie w oczy latarkami świecą, wcale się nie poznają; przypadkowo śpiewają tercety, kwartety, kwintety, zmieniając tylko kapelusze lub płaszcze, maskują się przed wrogami, którzy na nich czatują — słowem libretto popełnia pod osłoną mroków wszelkie możliwe niedorzeczności. Do gazet przesiąkły tak dalece „konwencyonalne kłamstwa," że dzienniki narodów nienawidzących się przemawiają do siebie tonami udanej słodyczy i przez zaciśnięte gniewnie zęby cedzą czułość fałszywą. Z tych też dla nas jedynych źródeł wiedzy politycznej trudno zaczerpnąć jakąkolwiek kroplę, która nie byłaby wielokrotnie podejrzaną i którejby zresztą same owe źródła nazajutrz w wątpliwość nie podawały. Czytelnicy pamiętają np., że prasa niemiecka, nadymana tchnieniami rządowemi, naprzekór obawom ze wszech stron wyrażanym, śpiewała hymn pokoju. W tygodniu minionym uderzono na alarm w Wiedniu— taż sama prasa stłumiła krzyki i wykazała bezzasadność popłochu. I znowu jeden z jej organów, „wysoce urzędowe" *Berl. Polit. Nachrichten* ostrzegają, że ktoś ukryty, datując swoje korespondencye z rozmaitych stolic Europy, durzy niektóre pisma niemieckie zapewnieniami pokojowemi, usypiającemi czujność opinii. A więc nadciąga jakaś chmura gradowa? Kto w chaosie sprzeczności na to pytanie odpowiedzieć zdoła! Prasa pruska „dobrze informowana" wygrywa swoje melodye nie unisono, lecz kontrapunktycznie: głosy w niej są rozłożone na pojedyncze instrumenty i spływają się harmonijnie dopiero w uszach znawców, a przedewszystkiem w uszach dyrektora. Nam, zwykłym śmiertelnikom, zdaje się, że gdy *Köln. Ztng* brzmi pokojowo a *Post* wojowniczo, słyszymy rozdźwięk w jednej orkiestrze, a tymczasem jest to artystyczny kontrapunkt, umiejętnie rozwijający pomysły kompozytora.

W ostatnim koncercie najbardziej zastanowił słuchaczów wojowniczo grzmiący bęben — *Fremdenblatt.* Dziennik ten ma być tubą ministeryum spraw zagranicznych Austryi, skutkiem tego zwraca swym głosem uwagę. Przed tygodniem z tuby owej wyleciało i we wszystkich pismach odbiło się echem ostrzeżenie, że przed wrotami monarchii Habsburgów stanął już Hannibal, a mianowicie Rosya na granicy galicyjskiej zgromadziła niezwykłe zastępy wojsk. Do Wiednia powołany został naczelny wódz armii austryackiej, arcyksiążę Albrecht, oraz marszałkowie, którzy pod przewodnictwem cesarza, wstrzymanego w wyjeździe do Węgier, odbyli naradę. Postawiono sobie pytanie: co począć? czy również uruchomić wojsko i przysunąć je ku granicy? Podobno jednomyślnie uchwalono: niczego nie przedsiębrać i czekać. Równocześnie, jak gdyby dla usprawiedliwienia tego wniosku *Nordd. Allg. Ztng* z satelitami zatkała usta *Fremdenblattowi* twierdzeniem, że jego alarm nie ma słusznej podstawy, gdyż obecna liczba wojsk ruskich pod ścianą austryacką stoi tam już oddawna. Ponieważ ciągle najważniejszemi są kwestye, owinięte około zagadki: czy będzie wojna — przeto, mimo całej niechęci do oskubywania kaczek dziennikarskich, musimy się zatrzymać nad tą, pływającą dotąd po prasie europejskiej.

Że w jej wnętrzu tkwi jakieś kłamstwo— to nie ulega wątpliwości, bez względu, czy Hannibal stanął przed bramami Austryi teraz, dawniej, czy nie stanął wcale. Bo jeżeli wojska ruskie sprowadzone zostały nad granicę w niezwykłej obfitości dawniej, niepodobna, ażeby rząd austryacki o tem nie wiedział; jeżeli skupiły się teraz, niepodobna, ażeby „arcyks. Albrecht uznał za możliwe wyjechać na całą zimę do Arco," a rada wojenna postanowiła „czekać." Jeżeli zaś cała wrzawa nie ma powodu, jaki ma cel? Tak daleko, aż do sfery tajemnic dyplomatycznych sięgać nie możemy i zatrzymujemy się na ich progu, z którego widzimy niewątpliwy manewr. Tak jest, albo narada marszałków austryackich zakończyła się postanowieniem zgromadzenia po cichu większej masy wojska w Galicyi, albo cały ten alarm był z Berlina kierowanym manewrem. W to zaś, ażeby wobec niebezpieczeństwa zdecydowano „czekać" — nawet uwzględniając tchórzową podszewkę polityki austryackiej uwierzyć trudno.

I cóż mówi prasa ruska na ten bezpośrednio już ją obchodzący alarm? Przedrwiwa go i przypuszcza, że jest on robotą pruską i że Austrya nigdy się nie poważy zaczepić Rosyi, że, zamiast gniewać się, „lepiej by

zrobiła, gdyby oczyściła i uzbroiła swój arsenał dyplomatyczny i zastosowała politykę do słusznych wymagań“ sąsiadki. Te słuszne wymagania odnoszą się przedewszystkiem do Bułgaryi, której nieroztrzygnięta sprawa miała być znowu podniesioną i (z pomocą Niemiec) doprowadzoną do końca. Tak przynajmniej przepowiadano z Paryża natychmiast po zjeździe berlińskim i starano się z tą przepowiednią związać odgłos trwogi wiedeńskiego *Fremdenblattu*. Szwy, którymi połączono te dwie materye, nie leżą na wierzchu, okazać ich więc czytelnikowi nie możemy.

Po wyciśnięciu gąbki, napojonej mętną wodą dziennikarską i odcedzeniu tej cieczy, cóż nam pozostaje? Ten coraz bardziej stwierdzający się pewnik, że — mówiąc językiem pewnej gadzinki pruskiej — „słońce wojny wschodzi coraz wyżej“ i podnosi temperaturę moralną świata do niebywałej duszności. Lada pogłoska, lada pomruk, lada znaczący szept dziennikarski wywołuje trwogę dnia sądnego. Po Europie przechadza się ustawicznie upior strachu, który wszystkie twarze powleka śmiertelną bladością. Jakie owoce na pniach cywilizacyi dojrzewać mogą w takiej spiekocie, jakie płody rodzić może ludzkość w tej trwodze? Ciekawa to epoka, w której kilka wierszy wydrukowanych w gazecie więcej sprawia spustoszeń, niż dawniej przejście orkanu. Gdyby giełdy zechciały obliczyć skutek, przekonalibyśmy się, że artykuł *Fremdenblattu* kosztował Europę miliony strat. I to tak trwać będzie dalej.

Z GALICYI.

Lwów, 1 grudnia 1887.

Otwarcie sesyi sejmowej. — Fizyognomia sali sejmowej. — Zagajenie marszałka. — Odpowiedź namiestnika. — Uwagi ogólne. — Niemiły ton. — Bieg prac sejmowych.

Znowu otwarły się uroczyście podwoje, które raz w rok przyjmują przedstawicieli narodu, kwiat obywatelstwa. Stu pięćdziesięciu wybrańców zasiada na krzesłach kurulnych, aby słowa swe rzucić na szalę losów kraju, aby zaradzić tysiącznym potrzebom, popchnąć niejedno na drogę postępu. Wchodzę za innymi i zanim marszałek zajmie swe miejsce — rozglądam się w około.

Fizyognomia sali sejmowej nie uległa zbytniej zmianie. Tak samo, jak przed rokiem, przeważnie przedstawiciele najwybitniejszych rodów — prawie rzec można— familianci wodzą tu rej. Darmo szukać siermięgi wieśniaczej, a inne stany nie zbyt licznych mają przedstawicieli. Jednego człowieka brak dostrzegasz w pierwszej zaraz chwili. Ćwierć wieku zasiadał tu pospołu z innymi, zawsze czynny, zawsze ruchliwy, wszystkim nakazujący posłuch dla siebie i poważanie. Teraz spiżowa tylko twarz jego przed ratuszem krakowskim spogląda na dzieci ukochanego miasta — w sali sejmowej pozostało po nim jeno wspomnienie. Lecz w pracach, którym Zyblikiewicz dał pobudkę, pozostał ślad jego ducha i długo, długo kraj musi pamiętać, co mu zawdzięcza.

To też marszałek, zagajając sesyę sejmową, dłużej, niż zwykle, zatrzymał się nad ustępem mowy, w którym oddał cześć zmarłym w ubiegłym roku posłom a w szczególności Zyblikiewiczowi. Z całą słusznością zaznaczył, że w Izbie, która przez długi szereg lat patrzała zblizka na działalność tego męża, mniej, niż gdziekolwiek przypominać potrzeba, że on tak zdolnością, jak wartością, był jednym z pierwszych i najcelniejszych ludzi w kraju a niejednokrotnie nawet dla wszystkich obywateli prawdziwym wzorem. Oddany wyłącznie służbie publicznej zupełnie o sobie zapominał a dobro ogółu jedynym dla niego było celem.

Istotnie, niepodobna przy tem wspomnieniu nie uczuć żalu, że Zyblikiewicz przedwcześnie dla Galicyi zakończył swe życie i służbę publiczną, niepodobna nie westchnąć, że tak mało prawdziwych obywateli, podobnych mu, Galicya posiada.

Z uznaniem jednak trzeba podnieść, że sprawy podjęte przez byłego marszałka nie stanęły w rozwoju, że przeciwnie ubiegły rok przysporzył krajowi niewątpliwych korzyści. Z przemówienia marszałka musiał każdy słuchający odnieść wrażenie, że postęp w stosunkach ekonomicznych i społecznych jest widoczny.

Pomijając cały szereg drobiazgów administracyjnej natury, które sejm załatwia z obowiązku, przypadają mu w udziale w tym roku także sprawy bardzo doniosłego znaczenia. Rozmaite ankiety i komisye, zwoływane przez wydział krajowy w ciągu ubiegłego roku, przygotowały sporo materyału, na którego podstawie ustawodawcza działalność może się rozwinąć w całej pełni. W pierwszym rzędzie staje tu sprawa reformy ustawy gminnej, kwestya dla stosunków galicyjskich znaczenia tak doniosłego, że trudno w tej chwili nawet obliczyć skutki, jakie ta reforma, od dawna gorąco pożądana, za sobą pociągnąć może.

Wszystkich jednak projektów, odnoszących się do reformy, nie przedstawiono sejmowi pod obrady, skutkiem potrzeby poprzedniego przeprowadzenia rokowań z rządem i gruntowniejszego a rozważniejszego opracowania tych zamysłów, a jak opinia ogółu sądzi, z powodu zbytniej krótkości czasu przeznaczonego na sesyę sejmową, w którym obrobienie tak rozległego materyału z należytym pożytkiem i dokładnością przeprowadzić się nie dało.

Przedstawił natomiast Wydział krajowy projekt oddzielnej ustawy dla 28 miast większych, trzy poważne projekty do ustaw szkolnych, niesłychanie ważną dla kraju ustawę o przymusowem zabezpieczeniu, ustawę łowiecką, o policyi ogniowej i kilka drobniejszych.

Że w tem wszystkiem widoczną jest dbałość Wydziału krajowego, można słusznie powtórzyć za marszałkiem.

Nie mniej słusznie cieszyć się można innymi objawami. I tak zaznaczył marszałek, że pod względem rozwoju komunikacyi Galicya postąpiła już niesłychanie, zwłaszcza w ostatnim roku, w którym przybyły trzy nowe linie kolejowe a na drogach krajowych stateczny okazywał się postęp, tak, że, wedle obliczeń Wydziału, epoka budowy naszych dróg prawdopodobnie w r. 1889 będzie zamkniętą.

Regulacya rzek, dzieło najnowszych czasów, doczekało się nareszcie pomyślnego rozpoczęcia przynajmniej w ramach możności. Cztery spółki wodne są już zawiązane a roboty regulacyjne około sześciu rzek są w pełnym biegu.

Na polu szkolnictwa widoczny także ciągły postęp. W roku 1886/87 przybyło 154 szkół ludowych, w obecnym zaś 148. Wynik gospodarki finansowej mimo zwiększonych wydatków jest bardzo pomyślny, tak, że niepotrzeba podwyższać dodatku do podatków dla pokrycia budżetowych potrzeb kraju.

Wspomniał także marszałek o wspaniałym darze galicyjskiej kasy oszczędności, która przeznaczyła 400,000 złr. na wybudowanie gmachu dla szkoły przemysłowej

---

2

KAPRAL

(GAWĘDA).

Strzały berdanek odzywały się coraz częściej; huknęło działo raz i drugi — bitwa zawrzała.

Marna to była bitwa; nas garść — mały oddział, a turcy natarli w kilkanaście tysięcy. Rzucałem się jak wściekły, chciałem, żeby moje ręce stały się tysiącem rąk, piersi— tysiącem piersi; nie słyszałem strzałów, nie widziałem bagnetów, nie pamiętałem, żem saper, że powinienem walczyć motyką—szedłem wciąż naprzód. Za moim plutonem rzuciła się cała kompania. Po naszych bagnetach ściekała krew jak woda z wioseł—pod nogami jęczeli ranni. W tem ostrze bagnetu prześliznęło się po moim boku — krew trysnęła. Widziałem ją, lecz nie czułem bólu, a siły moje, zamiast słabnąć — wzrosły. I zdało mi się, że jestem olbrzymem, że rzucam się na rozjuszone potwory, co chcą wtargnąć do Białicy i porwać Marikę...

Naraz rozległ się głos trąbki — co to znaczy? Każą odstępować? Odstępować, gdy tyle tłuszczy przed nami; odstępować, gdy Marika we wsi?..

Usłyszałem komendę: „Odwrót!“

Spojrzałem: kapitan stał na uboczu sztywny, jak figura św. Jacka przed naszym kościołem.

— W kolumnę! — zawołał surowo.

Uszykowaliśmy się.

— Panie podporuczniku ruszaj przodem! Dobosz, bij do ataku — rzekł — i stanął w tyle kolumny — tuż obok mnie.

Zadziwiłem się, skąd ten atak, gdy odstępujemy? Spojrzałem do koła: turcy owinęli nas łukiem, a Jantra jak cięciwa zagradzała odwrót. Zrozumiałem, że gdy inne oddziały, według taktyki, ustępowały krok za krokiem przed siłą, my, uderzając w środek i odpierając go, dobrowolnie wpadliśmy w matnię. Zginiemy — pomyślałem i czułem, że z mojej winy. Przynajmniej niech zginę pierwszy — szepnąłem w duchu i wysunąłem się naprzód.

— Kapralu — krzyknął kapitan— pilnuj szeregu! czy nie tchórzysz do licha, że wysuwasz się!

Zawróciłem i stanąłem w miejscu.

Rozległo się kilkanaście wystrzałów, kule przeleciały nad nami, lecz były tylko postrachem, bo któż z wrogów śmiałby strzelać do środka, gdy naokoło swoi.

— Poddawajcie się! —zabrzmiały w koło okrzyki.

— Marsz! — ozwał się głos komendy.

Nastała cisza: tylko tentent stąpań, tylko odgłos bębna: raz, dwa! raz, dwa! I zdało mi się, że dobosz w tej chwili mocniej i krócej uderza jak na mustrze, że bęben dudni ponuro. Spojrzałem — nasze bagnety jakieś maluczkie, krótkie — i pomyślałem: dlaczego to nie robią bagnetów przynajmniej dwakroć dłuższych... Dobosz coraz ostrzej uderzał, nasze kroki stawały się coraz sprężystsze, twardsze. Tam, za tą obręczą słychać gęste wystrzały. Przypomniałem sobie, że na spodzie wzgórza sypaliśmy okopy i otucha wstąpiła: gdyby tylko przełamać — w szańcach jeszcze nasi!

— Hurra!! — rozległ się okrzyk i pędem rzuciliśmy się naprzód. Przegroda pękła jak szyba od rzuconego kamienia i nim opamiętałem się, byliśmy za kołem, a cała masa nieprzyjaciół, jak fala morska, rzuciła się na tył kolumny... Dopiero zrozumiałem, co znaczy przy odstępowaniu być w tyle. Jednak odparliśmy ten nawał.

i o wystawie w Krakowie, która najwymowniejszem była świadectwem rzetelnych usiłowań i silnie rozbudzonej żądzy postępu we wszystkich kierunkach, jakie na niej były reprezentowane, tj. rolnictwa, przemysłu i sztuki.

Ostatni ten ustęp, w którym głównie na „żądzy postępu“ położono nacisk, mojem zdaniem, formą odbijał od reszty mowy, regestrującej owoce rzeczywistej pracy; tu piękne słowa zasłaniały treść, której właściwie nie było. Ale trudno, na pewnych stanowiskach trzeba robić niejedne ustępstwa.

Długim i szumnym zwrotem o doniosłości tegorocznego pobytu arcyksięcia w Galicyi a wreszcie poważnem wspomnieniem, poświęconem pamięci zmarłych posłów: Romana ks. Czartoryskiego, Zyblikiewicza i Ryszarda Zawadzkiego, zakończył swą rzecz marszałek. Mowa to poważna, spokojna i sucha, nieporywająca zapałem ani genialnymi błyskami, znamionująca sumiennego i rozważnego pracownika. Zdaje się, jakoby na czole tego wodza można wyczytać: bronić i strzedz was na drodze pochodu potrafię, ale nie wytknę wam nowej drogi ani nie poprowadzę na walkę.

Odpowiedź namiestnika, jak zawsze, zawierała znane frazesy o najżyczliwszej sympatyi, gotowości do usług i ułatwień, z tem skromnem zastrzeżeniem jednak, że rząd towarzyszyć będzie pracom sejmu z wszelką „wskazaną“ pomocą, to znaczy, że zrobi ostatecznie to, co sam zechce. Jedynie tylko w kwestyi trwania sesyi padło z ust przedstawiciela rządu wyraźniejsze oświadczenie, że prace sejmowe będą mogły przeciągnąć się po za czas, który pierwotnie był przeznaczony, bo może aż do zwołania Rady państwa, co zdaje się nastąpi w drugiej połowie stycznia. Głos namiestnika w tej kwestyi niewątpliwie był wywołany wrzawą, jaka w całym kraju się podniosła na wieść, że sejm ma trwać tylko do 21 grudnia a więc niespełna 4 tygodnie. Wobec oburzenia ogólnego rząd musiał ustąpić.

Takim był przebieg zagajenia nowej sesyi sejmowej. Nie było wybitnej różnicy od podobnych aktów lat ubiegłych. Zaznaczyćby chyba można widoczniejszą apatyę między posłami, których przy otwarciu brakło do 60 a więc przeszło $\frac{1}{3}$ ogólnej liczby. Objawiła się ona także i w formie zewnętrznej: kontuszów, którymi dawniej się popisywano, było zaledwie kilka a niektórzy posłowie, wbrew zwyczajom towarzyskim, zjawili się w tużurkach codziennych. Jeżeli w ten sposób chcieli okazać, że rzeczywistą pracę przekładają nad formę zewnętrzną— to i owszem. Czy tylko nie było to objawem lekceważenia prac sejmu i jego znaczenia, z czem wielu z pomiędzy naszych panów się nie tai?!

Jeszcze jeden szczegół, powtarzający się od lat kilku. Z ust posła Romańczuka znowu wypadły słowa żalu, że przy zagajeniu sejmu nie usłyszano ani jednego wyrazu rusińskiego, tak, jakby obaj najwyżsi dygnitarze kraju i rządu zapomnieli o istnieniu drugiej milionowej narodowości. Marszałek odpowiedział na to, że regulamin nakazuje mu urzędować po polsku. Dziwna polityka. Ten sam regulamin przecież nie zakazuje mu przemówić kilku słowy powitania w języku, którym włada połowa ludności kraju i którym przemawiają w sali sejmowej jej reprezentanci. Zawsze musi powracać ten fałszywy akord w chwili, w której harmonia jest tak pożądaną. Kiedyż się obudzi poczucie sprawiedliwości i konieczności poszanowania praw innych?

Od otwarcia sesyi upłynęło już dni kilka. Oczywiście prace organizacyjne i przygotowawcze w komisyach zajmują najwięcej czasu a w pełnej Izbie nic poważniejszego nie stanęło na porządku dziennym. Między posłami brak dotychczas silniejszej inicyatywy. Najwięcej znaków życia dała lewica, która poruszyła już kwestyę dłuższego trwania sesyi sejmowych, ustawodawcze uregulowanie sprawy szkół średnich, kwestyę sądownictwa gminnego i podniosła projekt zajęcia się sprawą pisarzy gminnych. Wszystkie to zagadnienia żywotne, zasługujące na poważne roztrząśnięcie i uregulowanie.

Leszek.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Domniemanie nasze sprawdziło się: „ufność,“ jaką „zjednoczeni“ posłowie republikańscy okazali nowemu prezydentowi Francyi, zwietrzała nazajutrz a chwilowa łączność prysła. Główny sprawca zamieszek, Clemenceau już przypomniał Carnotowi, jaką drogą a raczej trafem doszedł do władzy, grożąc mu barykadami parlamentarnemi dla każdego ministeryum, które nie uwzględni żądań radykałów. Ponieważ zaś żądania te są w obecnych warunkach do spełnienia niemożliwe, a niektóre z nich wprost niedorzeczne, więc rozpocznie się dalszy ciąg znanej taktyki wywracania gabinetów i klejenia z trudem nowych. Poczuł już smak tej miłej pracy, spróbowawszy napełniać beczkę Danaid. Jak niegdyś Grévy, podobnie i on wzywał kolejno rozmaitych mężów zaufania, powierzając im utworzenie ministeryum. I znowu wielu podziękowało za ten zaszczyt i męczarnię rządzenia Izbą, nieposiadającą stałej większości a ustawicznie rozdzieraną przez żywioły sobie wrogie. Nareszcie zlepiono gabinet pod przewodnictwem Tirarda. Że i ta lepianka wkrótce się rozpadnie — możemy zaufać panom Cassagnac, Clemenceau itp., którzy wielokrotnie dowiedli zręczności i sztuki w takich przedsięwzięciach.

Naszem zdaniem; każdy prezydent Francyi źle robi, który odsuwa od władzy przywódców radykalnych, gdyż tym sposobem podtrzymuje wiarę w ich zdolność rządzenia. Przeciwnie należałoby raz p. Clemenceau i jego współwyznawcom politycznym oddać ster; niechby spełnili swe programy i okazali swe talenty. Z pewnością po kilku tygodniach przekonaliby naród i siebie, że z miejsca swego rydwanu nie ruszą i że daleko pomyślniej mogą przekopywać i zawalać przeszkodami drogę innym. Dopóki zaś nad skrajną lewicą unosi się niewypróbowany praktycznie nimbus zdolności rządzenia i dopóki Izba pozostanie w obecnym swym składzie i ustosunkowaniu stronnictw — trwać będzie do nieskończoności wzajemne paraliżowanie się jej sił i zamęt, który nie maleje, lecz wzrasta. Sprzyja mu nietylko rozdrobnienie się i zrównoważenie partyj, ale także brak umysłu górującego, któryby nad większością zapanował. Umysł tego rodzaju albo by zyskał jej ufność, albo by zdobył jej wolę przez szereg czynów energicznych i śmiałych. Tej miary nie się w Izbie francuskiej nie lęże. Gromada miernot, niby stado indyk, między któremi tylko tu i owdzie nieco większe nadymają swe korale i głośniej bulgoczą, drze się, kłóci, bije, wymyśla, słowem, „każdy czyni w swem kółku, co każe duch“... interesu osobistego lub stronniczego, a całość żadna złożyć się nie może. Czy zamierzone rozwiązanie Izby zmieni tę gromadę, przynajmniej co do stosunku żywiołów—wątpimy? Może, jeśli prezydent rozumnie odezwie się do narodu a naród mu rozumnie odpowie.

Dynamit, rewolwer, sztylet, słowem wszelkie narzędzie mordercze stało się w naszych czasach tak powszedniem *argumentum ad hominem*, że najzwyklejszy śmiertelnik może się spodziewać, iż dłużnik, współzawodnik, wreszcie obrażony uczęstuje go kulą lub bombą. Należało się spodziewać, że

---

— W rozsypkę! — ozwał się głos kapitana jakoś raźniej. Zaledwie to uczyniliśmy, za nami rozległy się tysiączne wystrzały. Pędem rzuciliśmy się ku okopom.

Gdym znalazł się w bezpiecznem miejscu, obejrzałem się z trwogą, bo myślałem, że po tym gradzie kul, zostało nas bardzo niewielu. Tymczasem byli prawie wszyscy. Lecz radość moją truł niepokój; odstąpiliśmy, oddaliśmy turkom Bialicę, co się tam teraz dzieje? Napróżno rozumowałem, że regularne wojsko nikogo nie skrzywdzi: serce bolało, sen uciekał, suchary leżały nietknięte, a rana, na którą nie zwracałem uwagi, zaczęła mi dokuczać.

Minęło pięć dni, które wydały mi się wiecznością — aż kazano znowu ruszyć naprzód.

Z bijącem sercem wrzuciłem tornister na plecy: widzę, jak okiem zasięgnąć, sunie nasze wojsko: całe szeregi konnicy, całe lasy bagnetów, a armat tak długi łańcuch, że końca nie widać. Niecierpliwiłem się, w jednej chwili chciałbym dotrzeć wsi, wypędzić niewiernych, uścisnąć Marikę i iść naprzód, aż na całej przestrzeni zakwitnie spokój a wówczas... dalej nie śmiałem marzyć.

Wyruszyliśmy. Za każdym krokiem serce uderza niespokojniej, a droga, jak na złość, stała się długą bez końca.

Naraz rozeszła się pogłoska, że turcy umknęli z Bialicy.

Widać nareszcie wieś; biegnę do kapitana:

— Proszę mi dać jakieś poruczenie do Bialicy.

Uśmiechnął się i rzekł:

— Ruszaj, lecz zachowuj się podług prawa.

Zawróciłem na miejscu i pobiegłem; pędzę, oddechu nie staje, a jeszcze daleko...

Dobiegłem... Jakiż okropny zobaczyłem widok! Zamiast Bialicy, ruiny, pogorzeliska. Wśród pożogi, jak cienie błądzą ponure postacie.

— Co to znaczy? — spytałem starca, co się pierwszy trafił.

— Turcy byli — i machnął ręką.

— Wszak to było regularne wojsko! — krzyknąłem i czułem, jak dreszcz przebiega po całem ciele.

— Regularne odeszło wczoraj wieczorem, a baszybuzuki dziś, przed kilku godzinami.

Zachwiałem się, jak gdyby ktoś kijem po nogach uderzył, lecz opamiętałem się i pobiegłem dalej.

Widzę — chatka Mariki cała — ogarnęła mnie radość.

Wbiegam, staruszka siedzi na macie.

— Gdzie Marika?

Zadrżała, zerwała się, popatrzyła na mnie i jakby coś sobie przypominając, wodziła do koła obłąkanym wzrokiem.

— Gdzie Marika? — zapytałem znowu i przeląkłem się swego głosu: był głuchy, jakby wychodził ze studni.

Przysiadła na ziemi, zapatrzyła się w komin i tajemniczo szepnęła:

— Niema Mariki...

— Gdzie ją podziałaś?!— krzyknąłem jak szalony i targnąłem starą za ramię...

Spojrzała na mnie strasznym, bezmyślnym wzrokiem i drżąc, zawołała:

— Niema Mariki!.. niema...

Włosy mi się zjeżyły, wybiegłem do sieni... i cofnąłem się: w kącie wisiał trup starego bułgara...

Chwiejąc się wylazłem naulicę.

Błądziłem od ruiny do ruiny, od domku do domku i wszędzie słyszałem odpowiedź: niema Mariki! była wczoraj, była dziś rano, a teraz niema.

Nadszedł wieczór, czas wracać do obozu— a Mariki niema. Ruszyłem koło Jantry

z tego sposobu zemsty będą robili obszerny użytek waryaci. Istotnie uciekają się oni do niego coraz częściej— tak często, że gdy telegram przyniesie wiadomość o nowym zamachu lub morderstwie politycznem, nieraz pierwszą myślą, jaka nam się nasuwa, jest przypuszczenie, że zbrodnię spełnił waryat. Jakiś szaleniec, udający spiskowca, wszedł do gmachu francuskiej Izby deputowanych, kazał sobie wywołać Ferrego i strzelił doń kilkakrotnie. Jedna kula uwięzła w piersi wyżej serca, chociaż rannemu niebezpieczeństwem nie grozi. Zaaresztowany naplótł o tajnem sprzysiężeniu, o wyciągnięciu losu itd., co wszystko razem okaże się majaczeniem obłąkanego. Rochefort bardzo się obraził, gdy mu wyrzucono, że to jego dzieło: niepotrzebnie, gdyż wyrzut, właściwie zrozumiany, był uzasadnionym. Gdyby radykaliści nie omazywali Ferrego błotem, gdyby go nie oskarżali o wszelkie zbrodnie i zdrady, nie daliby waryatowi materyału i pobudki do zemsty.

Projekt podwyżki ceł od zboża w Niemczech, odesłany dla zbadania komisyi parlamentarnej, przechodzi zwykłą kolej samowolnych pomysłów kanclerza: w komisyi zostaje nicowany i potępiony przez tych samych ludzi, którzy go w sejmie przyjmą. Tam go sądzi swobodna krytyka, tu zaleca *Knechtsinn*. Zdaje się wszakże, że wstecz obowiązująca moc prawa będzie usunięta a żądana wysokość opłat nieco zmniejszona.

Przykro być synem niemieckiego Eskulapa. Gdy Mackenziego wychłostano za jego lichą metodę i nieznajomość rzeczy w kuracyi następcy tronu, wezwano „die grössten Capacitäten" Germanii, które zadecydowały, że książe ma w gardle raka, że wreszcie operacyą można było narośl usunąć, ale właściwą porę ominięto, że chory musi wkrótce umrzeć. Na wypadek zaś gdyby się dusił, zostawiono mu znakomitego doktora. Tymczasem zamiast wiadomości o nadchodzącym zgonie zaczęto odbierać doniesienia o powracającem zdrowiu a wreszcie sam skazany na śmierć, w ogłoszonym przez gazety liście, oświadcza, że umierać nie myśli, owszem odzyskuje siły i spodziewa się je „poświęcić ojczyźnie." I cóż na to „die grössten Capacitäten Deutschlands"? Wytrzeszczają oczy i przygotowują się do spuszczenia nosów. Naturalnie jeszcze mogą powątpiewać, czy leczenie według rady d-ra Freunda przeciwcukrowe lub zażywanie jodku potasu, wskazującego innną przyczynę choroby— ocali chorego; ale ich stanowcza i w archiwum państwa — niestety! — zachowana przepowiednia co dzień traci na wadze.

Natomiast wiadomości o zdrowiu cesarza Wilhelma i ks. Bismarka brzmią znowu niedobrze. Kanclerz miał silny atak apoplektyczny, który przeminął, ale —jak mówi depesza — „ślady zostawił."

SPRAWY EKONOMICZNE.

POSTĘP WIEDZY TECHNICZNEJ.

III.

Nim jednak walka między cukrem sztucznym, a naturalnym zostanie rozstrzygniętą, ma cukier skrobiowy inną ważną misyę do spełnienia. Przy wyrobie piwa, wina, jako też innych napojów wyskokowych, tworzy się wyskok bezpośrednio tylko z cukru gronowego, skrobiowego lub słodowego. Dlatego też winogrona, miód i wszystkie słodkie owoce ulegają wprost fermentacyi; przy pędzeniu wódki z buraków, melasy lub innych odpadków cukrowniczych musimy naprzód rozszczepić cukier trzcinowy, w nich zawarty, na gronowy i mazisty, nakoniec przy wyrobie piwa lub wódki z roślin zbożowych lub ziemniaków mamy do czynienia ze skrobią.

Tem się tłomaczy potrzeba słodu w naszych gorzelniach i browarach. Diastaza ze słodu scukrza najpierw skrobię, a wytworzony cukier słodowy fermentuje następnie pod wpływem drożdży. Lecz można i tu zastosować podział pracy: zamiast scukrzać skrobię na miejscu, można nabywać wprost cukier, albo w stanie stałym, lub też w kształcie ulepu (syropu).

Właśnie Leonowi Cuisinier w Paryżu udało się ulepszyć sposób scukrzania ciał, zawierających skrobię, a to przy pomocy stopniowego prowadzenia procesu; dodaje on nie wszystek słód odrazu, lecz porcyami przy różnych temperaturach i ciśnieniu; przez to ma wszystek krochmal przejść w cukier; wtedy oddzielają sok od łuski, drzewnika itd., i albo doprowadzają tylko do gęstości syropu, lub też produkują cukier krystaliczny, jak wyżej wzmiankowano. 1 centnar cukru kartoflanego ma zamieniać 3 centnary słodu w browarach. Ten podział pracy zyskuje coraz więcej zwolenników, szczególnie w Anglii, w skutek tego i zapotrzebowanie ulepu wzrasta. W 1881 r. wyrobiono w Niemczech tylko 161,720 ctn. ulepu, w kampanii zaś 1885/6 r. produkcya wzrosła do 272,407 ctn., a z tego przeważna ilość wywozi się do Anglii. Wyrób cukru lub syropu słodowego ma i nas najzupełniejszą racyę bytu; zyskuje się w ten sposób nietylko na kosztach transportu, lecz pozostaje jeszcze w kraju łuska ziarn, wywar i inne odpadki, które można zwrócić ziemi.

Twierdzą niektórzy, że każdy naród ma swe szczególne cechy, które odnaleźć można we wszystkich czynach jego jednostek. Anglia ma być krajem rachmistrzów, francuzi — narodem chwilowych popędów. Myślałem nieraz, czem my się charakteryzujemy w razie słuszności powyższej teoryi. W tej chwili jednak zdaje mi się, że najcharakterystyczniejszą cechą polaka jest zgodność jego słów i czynów. Jeśli polski psycholog zacznie narzekać, że posiadamy „za wiele kwiatów," możemy z góry być przekonani, iż nie zacznie on studywać korzonków wiedzy, lecz będzie się uganiał za jej... kwiatami; jeśli śpiewaczka nas zapewni, że jej „najmilej śpiewać swoim," bez obawy możemy wnieść pieniądze, na jej występy przeznaczone, do banku na wieczny depozyt. Obecnie rozlega się śród nas hasło: "sami sobie." Czyż nie jest ono dostateczną rękojmią, że kapitaliści nasi i nadal odcinać będą kupony, jeździć „wiedeńskiemi" karetami, ubierać się w suknie z „angielskiego" materyału, bodaj czy nie zrobione w „paryskich" pracowniach, lubować się serem, sprowadzonym wprost ze Szwajcaryi lub Hollandyi, że synowie naszych rolników studyować będą piękność westalek piwiarskiego zakonu w Halli, Getyndze i innych miastach ze słynnemi akademiami rolniczemi, a gospodarstwo pozostanie w rękach „agronomów," wykształconych na łonie natury, pod okiem swych ojców — Ukryjgroszowiczów, i na ukłonach przed swymi panami Furdasińskimi. Że w takich warunkach ziemia nasza stanie się coraz bogatszą w... plany znacznych melioracyj, na które tylko niestety nie można zdobyć kredytu, to zdaje się nie ulegać wątpliwości. A wobec takich planów cóż znaczą jakieś tam odpadki fabryczne, tuczące obce bydło i użyzniające obcą glebę?

J. Zahler.

CŁA NIEMIECKIE.

II.

Wreszcie posłuchajmy, co mówią sami niemcy o wpływie ceł, naturalnie ludzie nie należący do partyi, lecz umysły bezstronne, oceniające położenie ze stanowiska interesów ogólno-państwowych.

Willebrandt *), znany ekonomista, utrzymuje, że spadek cen wywołany został nie w skutek silniejszej podaży, lecz w skutek zmniejszonego popytu, który zabito cłami. „Z Niemiec wyszedł ten niszczący prąd i na Niemcy też potem spadł całym swoim ciężarem." „Reforma celna, która zwiększyła dochody państwa prawie o 100 mil., uszczupliła za to dochody narodu o miliardy! Państwo, które tak nieekonomicznie obchodzi się z siłą podatkową swego narodu, wyczerpuje samo źródło swej egzystencyi. Fiasko naszej polityki celnej, jest wszechstronne, zupełne i przestraszające. Przestraszające nietylko dla jej przyjaciół, ale i dla wrogów..., którzy nie spodziewali się, by jej niszcząca siła w krótkim przeciągu czasu wystąpiła z tak okropną mocą."

P. Reichensperger jeden z przewódców centrum, projekt podwyższenia ceł nazywa: opodatkowaniem narodu na rzecz garstki wielkich właścicieli, którzy występując w imieniu klasy włościańskiej, dopuszczają

*) *Das fortschreitende Sinken der Preise unter der Herrschaft der Schutzzollpolitik.*

---

i w parowach wciąż wołam: Mariko!.. Cisza naokoło, tylko w różnych stronach bębny biją wieczorną pobudkę.

W tem—krew rzuciła mi się do głowy— widzę na spadzie góry otwór pieczary, a w nim bujne, szare włosy — to jej, jej włosy! Któżby miał takie? schroniła się biedaczka aż tutaj... biegnę. Napróżno mrok chce ją ukryć! Już widzę jej blade czoło, widzę usta; przypadam... śpi podobno — nie rusza się... Podkładam ręce pod główkę, chcę podnieść... Lekko uniosła się i stoczyła z mych rąk, dudniąc po twardym gruncie... Jęknąłem— zrywam się, przecieram oczy— co to jest?.. Jantra mignęła przed wzrokiem krwawą smugą, a na spadach gór leżą głowy bez kadłubów — wszędzie jej głowy!.. Nachyliłem się, porwałem tę, która była przedemną i popędziłem przez góry. Mknę, a ziemia zapada pod nogami; wiatr rozwiewa jej włosy i szeleści jak sztandarem... Spojrzałem: jej oczy otwarły się, usta uśmiechnęły — wpiłem się spiekłemi ustami w jej usta...

* *

*

Obudziłem się ze snu. Nade mną stała kobieta.

— No cóż? — zapytała łagodnie — jak czujesz się?

Patrzyłem i nierozumiałem.

— Kto jesteś? — zapytałem.

— Jestem lekarzem.

— Gdzież ja jestem? gdzie mój oddział?

— Jesteś w Żurżewie, w szpitalu: a twój oddział nie wiem — może już w Adryanopolu.

— W Adryanopolu!—zawołałem— a Marika?!

Kobieta położyła rękę na mej twarzy i głaszcząc, jak matka, rzekła:

— Więc to była Marika!..

Zdało mi się, że lecę w przepaść... kobieta ocuciła mię.

Gdy po kilku dniach spojrzałem w zwierciadło, przeląkłem się: byłem skieletem, a głowa moja jak trupia czaszka nie miała ani jednego włosa.

Dowiedziałem się później, że objazd znalazł mnie w górach, zamarłego w pocałunku biednej główki.

A jednak żyję — widzicie.

...I eks-kapral opuścił głowę ku ziemi.

Brolis.

się rozmyślnego kłamstwa, bo spodziewane korzyści nie odpowiedzą zdwojonym ciężarom. W Prusach zwłaszcza rozdrobnianie małej własności coraz większe przybiera rozmiary: parcele pojedyncze wynoszą od 2 do 5 hektarów, że zaś najściślejsze obliczenia statystyczne wykazały, iż dopiero przestrzeń 7½ hekt. może rodzinie włościańskiej zapewnić potrzebną na wyżywienie ilość zboża, widocznem jest, że cła zbożowe dla włościan będą zgubnym ciężarem. Reichensperger dowodzi, że podrożenie cen chleba dziś już jest tak znaczne, iż wydatki ludności niemieckiej wzrosły o 321 mil. marek rocznie. W końcu R. przywileje cłowe nazywa wielkim politycznym błędem, a ponieważ następstwa jego dotkną masy ludowe, których nastrój wiele do życzenia pozostawia, kto wie, jakie skutki może za sobą pociągnąć prawo, z taką gorliwością przez partyę agrarną zalecane.

Moglibyśmy więcej głosów z obozu niemieckiego przytoczyć, zwłaszcza opinie prasy liberalnej i niezależnej; wystarczą jednak powyższe zapatrywania, by dowieść, jak niepopularną jest w Niemczech polityka celna Bismarka i jakie smutne następstwa nieodwołalnie dla narodu sprowadzi.

Pozostaje nam jeszcze rozważyć, jaki wpływ wywrą cła niemieckie na naszą produkcyę, kwestya to bowiem najważniejsza a dość błędnie przez ogół oceniona.

Jeżeli faktem jest niezaprzeczonym, że miejscowa produkcya Niemiec nie wystarcza na zaspokojenie ich potrzeb, rzeczą również jest widoczną, iż niedobór tą lub inną drogą musi być pokryty. Po pierwszych podwyżkach celnych w Niemczech, suma obrotów zbożowych spadła o 50%. Była to ilość, którą Niemcy wywoziły komisowo z Rosyi do innych krajów; po wprowadzeniu ceł interes komisowy się nie opłacał, kupcy przestali być pośrednikami handlu zbożowego między nami a Europą i jedynie kapitał niemiecki przyczynił się do zorganizowania bezpośredniego wywozu z portów rosyjskich, jak Ryga i Libawa.

Nasza produkcya, acz ze stratami pewnemi, dziś już nie ogląda się jedynie na rynki niemieckie i na komisantów niemieckich, lecz wyszukuje innych źródeł ujścia dla swej wytwórczości. Prócz Libawy i Rygi, rozrósł się olbrzymio wywóz przez Odessę, która obecnie jest pierwszym portem ruskim. Najlepiej wreszcie objaśnią nas cyfry i odpowiedzą, czy od lat kilku prowadzona przez Niemcy wojna ze zbożem ruskiem tak bardzo temu ostatniemu dała się we znaki.

W r. 1884 wywieziono wogóle zboża za granicę 319,498,320 pudów, a specyalnie do Niemiec 70,522,096 pudów, zaś w r. 1885, to jest po ustanowieniu trzech-markowego cła, wywieziono wogóle 330,599,901 pudów, zaś do Niemiec 60,312.878. Czegoż te cyfry dowodzą? Oto, że cła niemieckie wpłynęły na zmniejszenie wywozu zboża do Niemiec, ale nie oddziałały bynajmniej na zmniejszenie się ogólnego wywozu zboża z państwa ruskiego. Rezultat powyższy świadczy, że targi niemieckie nie mają bynajmniej dla Rosyi doniosłego znaczenia, które im przypisują dzienniki niemieckie.

Przeglądając tygodniowe i miesięczne buletyny giełdy ruskiej z r. z., przekonywamy się dosadnie, że nastrój zbożowych targów ruskich nie zależał wcale od zmniejszenia się wywozu zboża na targi niemieckie, jakkolwiek w r. 1886 wywieziono tam zaledwie 37 i pół mil. pudów zboża, czyli o połowę mniej niż w r. 1884. Można się spodziewać, że gdyby nawet targi niemieckie były całkiem zamknięte dla naszego zboża. to i wówczas nawet przemysł rolniczy państwa nie doznałby jeszcze żadnego wstrząśnienia. Wprawdzie stracilibyśmy doświadczonych „Zwischenhändlerów,“ ale na to nie ma się co uskarżać, a właściwie moźnaby się cieszyć, że handel nasz uwolni się raz przecie od kosztownych pośredników.

Streszczając powyższe poglądy, dojdziemy wniosku: że cła niemieckie nie są dla nas przyjemnym nabytkiem, z tego głównie względu, iż wprowadzą chwilowe zamieszanie w dotychczasowych drogach handlowych, któremi produkt nasz kroczył: że chwilowo spekulacya wyzyska położenie, strasząc nieświadomych, lecz po niedługim czasie stosunki wrócą do właściwej normy; że ta ilość zmniejszona zboża, która dziś idzie do Niemiec, i nadal znajdzie tam zbyt, bo ilość to *potrzebna* dla konsumenta niemieckiego; że cła protekcyjne przynoszą korzyść tylko wówczas, gdy dane państwo posiada nadmiar pewnego produktu, który z jakichkolwiekbądź powodów nie był dotąd spożytkowany; w przeciwnym zaś razie — a w tem położeniu są Niemcy — cła czasowe tylko szkodę przynoszą, zarówno handlowi, jak i gałęziom przemysłu różnego rodzaju.

Nie lekceważąc zatem, ale i nie przerażając się cłami odwetowemi Bismarka, tem usilniej starać się powinniśmy o zwiększenie produkcyi — jako środek obniżenia jej kosztów — i o wyborową jakość towaru — jako sposób zapewnienia mu wszechświatowego popytu.

Niemcom zaś przypomnijmy słowa ich ministra, na którego już raz powoływaliśmy się. Aczkolwiek prawie wszędzie — powiedział p. Lucius — stopa procentowa spadła z 5 na 3½, czyste dochody rolników zmniejszyły się jednak o 25%. Kto więc ma rolę obdłużoną więcej nad połowę, upaść musi: *ani cło ani pomoc państwowa, nic go już nie uratuje!*

A czy dla nas słowa te nie są pouczające?...

Gozdawa.

W SPRAWIE ROLNICTWA.

(Odpowiedź).

Zamiast nauki, w której widzę główny ratunek upadającego przedsiębiorstwa, pan H. St. w poprzednim numerze *Prawdy* wskazuje inne środki, w rzędzie których pierwsze miejsce zajmują stowarzyszenia.

Ponieważ i gdzieindziej i w *Prawdzie* (Listy ze wsi) najsilniejszy nacisk kładłem na konieczność zawiązywania stowarzyszeń rolników, widząc w nich źródło bezpieczeństwa i powodzenia dla tutejszego rolnictwa, jesteśmy z szan. moim oponentem na tym punkcie w zgodzie, tylko że ja dorzucę jeden warunek. Oto poczucie konieczności stowarzyszeń i pojęcie ich znaczenia wtedy staną się wszechstronnemi i w życie wejdą, gdy grunt do nich przygotujemy odpowiedniem rozjaśnieniem głów, mających dać inicyatywę i stać się wykonawcami pożytecznej idei. Dopóki jednak obecna martwota umysłowa cechować będzie większość przedstawicieli warsztatu rolnego, dopóty nie może być mowy o działalności, wymagającej niezbędnie pewnego wyrobienia intelektualnego. Tu zatem wrócić będziemy musieli do dewizy: „Trzeba się uczyć, minął wiek złoty,“ o której nie należy nigdy zapominać.

Co do łatwowierności, jakiej dałem dowód, powołując się na wysokie plony w niektórych gospodarstwach otrzymywane, to 1) miałem sposobność osobiście przekonać się, że rezultaty w dwu tych gospodarstwach wymienione, istotnie zostały osiągnięte; 2) wydajności 20 korcy z morga np. nie stawiałem jako reguły ogólnej, ale jako dowód. że siła kultury i inteligencya rolnika są w stanie podnieść wytwórczość do nieznanej u nas wysokości. Wreszcie odpowiedź moja przybrałaby nazbyt obszerne rozmiary, gdybym potrzebował dowodzić panu St. nawet tak prostej formuły ekonomicznej, że zwiększenie produkcyi na mordze zmniejsza koszta jej wytwarzania, a tem samem podnosi rentę gruntową.

O znaczeniu ceł niemieckich dla tutejszych stosunków mówić na teraz nie będę, gdyż jednocześnie drukowana o tym przedmiocie w *Prawdzie* praca. objaśni mego oponenta, co o nich sądzę. Natomiast chętnie bym podniósł inne projekty p. K. St, gdyby one w czemkolwiek opierały się na znajomości tutejszych stosunków i możliwe były w przeprowadzeniu. Ale — niestety — rzecz się ma zupełnie przeciwnie. I projekt statku parowego i myśl o premiach rządowych zaliczyć muszę do rzędu niepochwytnych marzeń.

Radzi pan K. St., żeby kółko 50 rolników, nabywszy płytki statek parowy, spławiało nim zboże do Gdańska i z jego pomocą sprowadzało z zagranicy nasiona, lub też narzędzia rolnicze i fabryczne (?). Przypuściwszy, że znajdziemy owych pięćdziesięciu... maleńki jeszcze warunek zostanie do spełnienia. Warunkiem tym będzie, ni mniej ni więcej, tylko regulacya Wisły. Gdyby p. St. zbadał, jakim środkiem komunikacyjnym jest królowa rzek naszych. wiedziałby, że dla statków nawet najpłycej zanurzających się, przy zwykłym stanie wody, Wisła jest niedostępna od Krakowa aż do Nowej Aleksandryi (Puław), a przez lipiec, sierpień i wrzesień aż do Warszawy. Pożytek z takiego statku byłby żaden, a kto chce na własny rachunek spławiać zboże do Gdańska. może to uczynić taniej i pewniej przy pomocy berlinek, gabarów lub galarów (ale nie tratew), gdyż statki te zawsze znajdują się do rozporządzenia. Lecz i w ten sposób nasz stalowy puklerz nie oprze się taranom Bismarka. Gdańsk jeszcze do tej pory jest pod panowaniem pruskiem, zatem zboże tam wysyłane. nawet *transito*, spotka się z utrudnieniami, które mu Niemcy stawiają. Właśnie usiłowaniem naszem jest obecnie wyszukanie takich dróg zbytu, któreby Gdańsk zepchnęły z jego dotychczasowego stanowiska.

Nie wiem, jak uważać projekt p. St. co do sprowadzania nasion i maszyn z zagranicy. w chwili zwłaszcza, gdy miejscowa wytwórczość oprócz końskiego zębu i lucerny, produkuje najdoskonalsze nasiona krajowe. a olbrzymie cła na maszyny zagraniczne nałożone, każą posiłkować się maszynami wyrobu krajowego. Więc sprowadzamy z konieczności koński ząb i lucernę, ale na to ani tratew, ani tem bardziej statków parowych nie potrzeba.

Większą jeszcze nieznajomość stosunków miejscowych widzę w projekcie premij rządowych po rublu od korca... zboża wywożonego. Zamiast dowodzenia gołosłownego, pozwolę sobie zacytować panu K. St. następujące fakty: W chwili gdy rolnictwo nasze znajduje się w ciężkiem położeniu, a polityka ekonomiczna nakazuje spieszenie mu z pomocą, odnośne sfery opracowują dwa projekty: 1) podniesienie podatku gruntowego o dwa i pół raza; 2) podniesienie taryf kolejowych od zboża!.. Oto są nasze premie. Czy to wystarczy?

Gozdawa.

BADANIA NAUKOWE.

LUDOŻERSTWO
I SZAŁ KRWIOŻERCZO-EROTYCZNY.

II.

W ten sposób fakty psychiatrycznej natury, rzucone na tle rozwoju świata zwierzęcego, a będące wygórowanem zboczeniem tkwiących w nas sprzężeń pomiędzy popędami krwiożerczym i erotycznym, wiążą w jeden typ wspólny najrozmaitsze postacie dziejowe i społeczne. Henryk VIII angielski, wysyłający na szafot żonę po żonie, a arab, duszący kochankę w chwili upojenia miłosnego, siepacz inkwizycyi, pastwiący się nad nagiem ciałem heretyczki lub wiedźmy, a obłąkaniec newropatyczny, mdlejący na widok cierpień zadawanych kobiecie, nauczyciel, katujący powierzone dziecko, a poeta, grzebiący się wśród krwawo-lubieżnych scen, Neroni i Kaligule, z lubieżnością łączący krwiożer-

czość bez granic, a żołądek średniowieczny, obryzgany krwią niemowląt i w uściskach duszący ich siostry i matki — wszystko to są pokrewne sobie postacie. Co do mnie, nie mogę np. przedstawić sobie stanu psychicznego Henryka VIII, gdy żony jego wstępowały na szafot, inaczej, jak w postaci pewnego upojenia natury lubieżnej.

Wreszcie są powody, skłaniające do umieszczenia w tej grupie niektórych plemion ludożerczych Afryki i Polinezyi. Nim jednak wkroczymy na pole etnograficzne, zauważymy, iż szał erotyczny doprowadza nietylko do pastwienia się nad kimś innym, lecz i nad samym sobą. Tu płcie obie dostępują równouprawnienia częściowego, wówczas gdy poprzednio występowali jedynie mężczyźni. Tak, w mytach hinduskich Śmierć chodzi w parze z Lubieżnością. Krafft-Ebbing wyjaśnia zapomocą tego związku wypadki samobójstwa, tak częste u młodzieńców w wieku dojrzewania. Praktykowana tu i owdzie u ludzi pierwotnych parnia z rózgami zawdzięcza również początek nie staraniom koło utrzymania ciała w czystości, lecz swym lubieżnym skutkom; za tem przemawia dołączanie do pary wodnej wyziewów dymu konopnego. W dalszym ciągu do tej wiązanki wyjawów przybywa i biczowanie ascetów. Ćwiczenie ciała zastępuje uściski. Że tak jest, a nie inaczej, mamy świadectwo w dziejach konwulsyonistów S. Medarda z w. XVIII. Histeryczki, pogrążone w manii ówczesnej, kazące bić się już nie rózgami, lecz kijami, rozkrzyżowywać na ścianie z przebijaniem rąk i nóg nawskróś gwoździami, po rozproszeniu gromad obłąkańczych, oddały się w wielkiej ilości nierządowi. Również biczownicy, przebiegający w XIV i XV w. różne okolice Europy, z katowaniem się rózgami łączyli czyny przestępne rozpusty. Byli to swego rodzaju lubieżnicy, upojeni pastwieniem się nad własnym „osłem,“ iż użyjemy wyrażenia ojców kościoła. Z tego punktu pojmiemy w całej rozciągłości znaczenie pedagogiczne rózeg; nie chcąc zaś być posądzeni o zbyt ryzykowne wyprowadzanie wniosków, powtórzymy jedynie zdanie takiej powagi psychiatrycznej, jak prof. Tarnowskij. Jego zdaniem, ćwiczenie malców rózgami sprawia przedewszystkiem jeden skutek: doprowadza do samogwałtu. Co więcej, zupełnie wynaturza ich organizacyę psychiczną — wielu z nich nie może obyć się w dojrzałym wieku bez pewnego narkotyku miłosnego, którym jest albo chłostanie siebie samego, albo katowanie innych.

Mówiliśmy z powodu Verzeniego o połączeniu z szałem miłosnym objawów ludożerstwa. Są to wypadki nie tak znów rzadkie. Oto, jak jeden z tego rodzaju potworów opowiada o swoim stanie psychicznym: „Rozciąłem jej piersi i nożem rznąłem miękie części ciała. Grzebałem się w niem, jak rzeźnik w bydlęciu. Przyznaję, byłem tak łaknący, żem drżał i ledwie nie pożarłem kawałka.“ Inny rzuca się w lesie na dwunastoletnią dziewczynkę, gwałci ją, zabija, wyrywa serce i zjada, oraz pije krew. Inny jeszcze w tym celu wyrywa części płciowe. Zbrodnię popełnia się często jedynie dla ssania dymiącej jeszcze krwi, pożerania drgającego ciała, bez zaspakajania samego popędu płciowego. Samo upojenie, będące zresztą natury lubieżnej, zupełnie wystarcza.

To wprowadza nas w sferę ludożerstwa dziejowego. Zestawmy wszakże pokrótce wyniki poprzedniego. Oto krwiożerczość dotrzymuje zawsze kroku lubieżności; w niektórych razach, u newropatyków wiadomego rodzaju, ludożerstwo jest równoznaczne zaspokojeniu płciowemu. Nasycenie się krwią ofiary sprawia upojenie erotyczne. Bohaterami tych smutnych dramatów bywają mężczyźni, ofiarami kobiety i dzieci. A teraz przejdźmy do kanibalizmu.

Ludożerstwo wśród ludności ogarnia całe plemiona, i liczba kanibalów, zdaniem niektórych, jeszcze obecnie wynosi z górą parę milionów. Letourneau usiłował uporządkować jego przyczyny i odróżnił między innemi ludożerstwo z łakomstwa. Jak widzimy, nie zawsze niedostatek i głód doprowadzają dzikiego do odpowiednich czynów. Widząc twarde warunki życiowe, wśród których wypadło żyć fuegieńczykom, rozumiemy, iż w ostateczności mogą posunąć się do kanibalizmu. Lecz tłomaczenie to nie wystarcza, gdy czytamy: „Zazwyczaj widzą źródło ludożerstwa w niedostatku środków do życia; lecz jakąż przyczynę możnaby wynaleźć dla kraju, posiadającego bydło ułaskawione i dostarczającego mieszkańcom w obfitości pożywnych korzeni i roślin (słowa jednego podróżnika o nowohebrydczykach), albo: „jeżeli znajdujemy ludożerców wśród australijczyków, rozumiemy, iż przyroda poskąpiła im roślin i pożywienia mięsnego, tak, że dzicy winni uciekać się do mięsa ludzkiego. Lecz na obfitujących we wszystko wyspach oceanu Spokojnego, przyroda umieściła pożywne i smaczne rośliny, tuziemcy mają świnie, ptactwo, ryby i mimo to należą do najnamiętniejszych kanibalów“ (słowa innego podróżnika). Widzimy, że napięcie kanibalizmu niekoniecznie bywa tam najpotężniejsze, gdzie panuje największa szczupłość środków do życia. Lippert szuka wyjaśnienia w tym fakcie, iż na wielu wyspach Oceanii, mimo obfitości ryb i płodów, niema dostatecznych źródeł pokarmów ciepłokrwistych; tak w N. Kaledonii, oprócz szczurów nie było żadnych ssaków z krwią ciepłą. Ale i na Ziemi Ognistej rzeczy stoją nie lepiej, niż na tym archipelagu; w każdym razie gorzej niż na wyspach Fidżi, ojczyznie najzaciekłejszego kanibalizmu. Zresztą, przyjmując w niektórych razach tłomaczenie Lipperta, zauważymy jego słowy: „u wielu plemion ludożerczych panuje zwyczaj, że kobiety i dzieci są albo zupełnie wyłączone z uczt kanibalistycznych lub zaspokajane jakimiś ochłapami.“ Fakt możnaby wyjaśnić tem, iż łupy polowania (bo wojna jest jego odmianą) należą wyłącznie do mężczyzn, gdyby nie pożeranie własnych rodowców oraz nie tożsamość z ludożercami europejskimi, iż mężczyźni składają kontyngens kanibalistyczny. Nadto, jak, ze stanowiska Lipperta, wytłomaczyć, iż ludożercy przekładają mięso ludzkie nad zwierzęce, członków swej rasy nad obcoszczepowców, kobiet i dzieci nad mężczyzn? Nawet w takiej miejscowości Polinezyi, jak wyspy Bow, pozbawione zwierzyny i ubogie co do pokarmów azotowych, gdzie wyjaśnienie tego socyologa znajduje zastosowanie, wyspiarze wiedzą, iż mięso kobiece jest smaczniejsze. Również i nowozelandczycy są zwłaszcza łakomi na mięso dziecięce i kobiece. Zresztą w Afryce spotykamy fakty nie do wytłomaczenia przez hipotezę uczonego niemieckiego. Niektórzy ludożercy z plemienia Ba-ntou „zamieszkują okolicę, gdzie znajduje się mnóstwo zwierzyny“; mambangowie przewyższają i energią i umysłowością i kulturą sąsiadów, nieznających ludożerstwa, sami zaś są kanibalami niepoprawnymi, mimo iż osiedli w bogatej w zwierzynę okolicy. Fanowie, znajdujący się w podobnych warunkach, wyciągają z grobów trupy *). O Monbouttach odzywa się jeden etnograf wsposób następujący: „lud ten tak posunięty pod niektórymi względami, nie umie, czy też nie chce hodować trzód; uprowadza bydło sąsiadów wraz z pasterzami, których chętniej pożera, niż byki, kozy i barany.“ Pośród tych plemion spotykamy jednostki, obdarzone w stopniu potwornym żądzami ludożerczemi, których nie tłomaczy już brak ciepłego mięsa, bo moglyby je posiadać. Objaw ten dochodzi do wygórowanych rozmiarów zwłaszcza u różnych „naczelników“; jest to dowód, że pociąg krwiożerczy plemienia czeka tylko społecznej sposobności do wybicia się w całej pełni. Wódz z Fidżi chwali się, iż pożarł 800, inny z Brezylii — 300 ofiar! Przypuściwszy nawet przesadę, musimy im przyznać szaloną chuć ludożerstwa. O jednym z naczelników Monbouttów opowiadają, że codzień musi zjadać dzieciaka. Lomando, „królik“ jednego ze szczepów kafryjskich, każe chwytać dziewczęta w polu, by karmić się częściami płciowemi. Dwie ostatnie postacie dosłownie odpowiadają ludożercom europejskim. Różnica wynika jedynie z tego, iż w naszych społeczeństwach popęd musi ukrywać się i, przez to samo, wybuchając chwilowo, przybiera formy chorobliwe szału; w Afryce zaś, ciesząc się uznaniem, występuje jako pociąg stały.

Sądząc z opowiadań podróżników, winniśmy przyjąć dziedziczność. Ludożercy z Gabonu potępili zjadanie ciała ludzkiego, bo zapierają się tego, lecz wykopują w tajemnicy trupów, zwalając czynność na wsie sąsiednie. Nie są więc w stanie wyrwania z organizmu tkwiącego popędu. Na wyspach Filipińskich, wśród bizajów, nieznających ludożerstwa, mieszkają pojedyncze rodziny kanibalów Asuanów. Pogardza się nimi jako wyrzutkami z powodu ich ludożerstwa, lecz one nie rzucają zwyczaju. Trwałość tę zauważył już Powell, który powiada: „Niepodobna Malanezyjczyków oduczyć od kanibalizmu.“ Winnismy więc przyjąć, że pewien szczególny układ tkanki nerwowej z stosownem usposobieniem uczuciowem przechodzi z rodziców na dzieci. Jeżeli zwrócimy uwagę, iż w wielu miejscowościach jedynie mężczyźni posiadają prawo do pożerania mięsa ludzkiego, iż głównie kobiety i dzieci służą za ofiarę, że ludożercy zamieszkują często bogate w zwierzynę okolice, wyjaśnienia możemy szukać dla niektórych plemion, w bodźcach, co pchają i europejskich obłąkańców — w lubieżnem upojeniu. Za tem przemawia fakt, że wyrafinowana i zarazem naiwna lubieżność nigdzie, być może, nie dosięga takich rozmiarów, jak w Polinezyi, ojczyznie obecnego kanibalizmu. Zresztą bynajmniej nie twierdzimy, ażeby nie było innych źródeł zwyczaju; kładziemy jedynie nacisk, że wśród ludożerców znajdują się plemiona, dopuszczające się czynu z pobudek krwiożerczo-erotycznych, jakkolwiek mogą nie występować w świadomości. Pamiętajmy, iż plemię Niam-niamów afrykańskich, mające pod dostatkiem zwierzyny, przypisuje własności upajające tylko mięsu ludzkiemu. O podobnem upojeniu mówią i domorośli obłąkańcy europejscy. Moglibyśmy przyjąć, iż takim plemionom dały początek jednostki z szczególnym układem komórki nerwowej, odpowiadającym chociażby częściowo spotykanemu u ludożerców Europy. Żywioł świadomie erotyczny mógł być rugowany powoli ze sprawianego upojenia i pozostać jedynie pod postacią jakiegoś niejasne odczuwanego wrażenia, występującego wyraźniej wśród oddzielnych jednostek, jak królik Lomando. Nie twierdzimy, że Verzeni, półidyota, i inteligentny fidżyjczyk, są identyczni z sobą; powiadamy jedynie, że w podstawie ich czynów tkwi sprzężenie lubieżności z krwiożerczością i że lubieżność jest zasadniczym punktem wyjścia. Zresztą przytoczymy jeden fakt, dający dużo do myślenia. Otóż są środki oduczenia ludożerców od tego popędu—nie będzie to dawanie mięsa zwierzęcego lub napełnianie uszów kazaniami o potworności, której nie pojmują, lecz zawierają się one w dostarczeniu narkotyków. Tuszylangi z środkowej Afryki, powiada Andree, byli ludożercami, lecz zaprzestali tego, gdy wprowadzono do nich zwyczaj odurzania się dymem konopnym.

Nie przytaczamy większej ilości faktów. Nasza hypoteza — nie znamy przynajmniej nikogo, kto spojrzałby na tę kwestyę z tej strony — wydaje się nam prawdopodobną. W razie jej prawdziwości, musielibyśmy

*) Zresztą psychiatrya zna obłąkańców szału krwiożerczo-erotycznego, doznających przyjemności, jedynie gdy gwałcą trupy, rzną je, wyjmują wnętrzności. Niektórzy nie zwracają uwagi na płeć, inni posuwają się do ludożerstwa (nekrofilomania).

przyjąć, iż, jak wśród społeczeństw są jednostki z różnemi usposobieniami, podobnież i wśród ras istnieją takie, które odtwarzają uczuciowo-chuciową stronę osób, uznanych przez naukę za okazy patologiczne *).

Lud. Krz.

HISTORYA LUDU IZRAELA

(E. RENANA).

II.

Pierwszy tom dzieli się na dwie księgi. W pierwszej mówi autor o plemieniu Beni-Izraela w stanie koczującym aż do osiedlenia się w ziemi Chanaan — w drugiej mamy dalszą historyę ludu Izraela aż do zupełnego utrwalenia się królestwa Dawida.

Około 2000 roku przed nar. Chr. rasa aryjska miała swe środkowe ognisko w prastarej Aryi (dziś Afganistan). Z tego macierzystego pnia wystrzeliły już gałęzie ku wschodowi i północy. Są to celtowie, segtowie, pelazgowie... W tymże czasie siedzibą rasy semickiej była Arabia, mniej wówczas wysuszona i opustoszała, niż dzisiaj. Z Arabii, zdaje się, wyszli zdobywcy prastarego Babilonu, zamieszkałego przez rasę ani aryjską, ani semicką, która jednak w bardzo już zamierzchłej przeszłości wytworzyła wysoką kulturę. W ślad za temi zdobywcami poszli aramejczycy, następnie zaś chananeńczycy (kenaani), zwani przez greków fenicyanami. Ludy te mówiły językiem zbliżonym do tego, który dziś nazywamy hebrajskim. Semicki ten napływ pobudował kwitnące miasta, rozwinął przemysł i handel. Syrya stała się krajem semickim.

Na tem jednak nie ograniczył się wylew semicki. W ciągu całych wieków napływali nowi przybysze ku brzegom Jordanu i morza Martwego. Wędrowne plemiona zwolna dopiero przechodziły do życia osiadłego, pośród zaś tych stałych siedzib długo koczowały pokolenia, których dachem był namiot pasterski.

Życie pod namiotem pozostawia wiele czasu do rozmyślań, podtrzymuje namiętności; w tych też surowych i wspaniałych ramach wytworzył się jeden z potężnych duchowych prądów ludzkości. Judaizm i chrześcianizm, następnie zaś islamizm, tu mają swe źródło. Naczelnicy klanów pasterskich — mówi Renan — byli prawdziwymi ojcami wiary. Poważni, uczciwi, ograniczeni, jeżeli o to idzie, lecz purytanie, pełni oburzenia na brudy pogańskie, wierzyli w sprawiedliwość i oko opatrzności.

Czem Grecya była dla kultury umysłowej, Rzym zaś dla politycznej, tem byli ci semiccy koczownicy dla religii. Przanosząc się z miejsca na miejsce, nie mieli fetyszów miejscowych, ogarniając jednak szerokie widnokręgi, wierzyli, że świat przenikają i kierują nim miriady duchów czynnych noszących zbiorowe miano *elohim*'ów — nie odróżniano ich bowiem dostatecznie. W tych warunkach wytworzyło się rychło dążenie do zlania tych istot niewidzialnych w jednego wszechpotężnego i wszędzie obecnego *Elohim* — nazwa znana także w skróceniu *El*. Około tego naczelnego bóstwa grupowały się tysiące innych duchów, z czego wytworzyło się pojęcie o aniołach. Monoteizm ten graniczył z panteizmem i materyalizmem. Dla pierwotnego semity to, co nie oddycha, nie żyje. Życie jest tchnieniem Boga, rozlanym we wszechświecie. Ten Bóg koczujących semitów nie ma świątyni, posągu, nie ma mitologii. Renan utrzymuje, że sam język semicki nie nadawał się do uosabiania, antropomorfizacyi zjawisk i rzeczy, językowi zaś uczony francuzki w życiu i kształtowaniu się narodów przypisuje większe daleko znaczenie, niż rasie. Wogóle kult pasterzy odznaczał się niezwykłą prostotą. Posługiwano się jedynie kamieniem dla oznaczania miejsc świętych, czy też pamiątkowych, zlewając je oliwą ofiarną. Święta były w związku z porami roku, jak pascha, święto wiosny. Wogóle religia tu była rodzajem wyrabiającego się deizmu bez metafizyki.

Kiedy to proste, surowe i uczciwe życie pasterskie, oparte na względnej równości, przeminęło — stało się ideałem, wiekiem złotym, ku któremu zwracać się będą długo prorocy, karcący występki i nieprawości późniejszego społecznego ustroju. I religia hebrajska, przyjmująca z czasem niższy charakter narodowego, pełnego ograniczeń i ceremonii monoteizmu, zwracać się także wciąż będzie do tego pierwotnego pojęcia elohizmu, do bóstwa sprawiedliwego, wszechludzkiego, jakiem go zechce mieć później chrześcianizm.

Pasterze semiccy, którzy wywędrowali z Arabii, ulegli następnie wpływowi prastarej cywilizacyi babilońskiej. Przybywali oni do Syryi przez Babilonię, gdzie jakiś czas pozostawali. Cywilizacya zaś zawsze wywiera silny wpływ na ludy barbarzyńskie, pobyt ten więc pozostawiał ślady niezatarte. Językiem, panującym wówczas w Babilonii, było już oddawna narzecze semickie; zwie się on dziś asyryjskim. Język ów mało już może był zrozumiałym dla plemion, mówiących hebrajskim, lub aramejskim (staroarabskim); cywilizacya jednak sama przez się przemawiała wyraźnie. Babilon od wieków był już latarnią, świecącą jaśniej jeszcze, niż Egipt wśród nocy otaczającej. Nie można dziś rzec na pewno, do jakiej rasy należeli pierwotni twórcy tej cywilizacyi, równie starej jak egipska. Język, jakim lud ten mówił, nie został odcyfrowany. Być może kryje się on w nieodcyfrowanych dotąd napisach akkadyjskich lub summeryjskich. Zdaje się wszakże nie ulegać wątpliwości, że hieroglifizm asyryjski, będący początkiem pisma klinowego, został stworzony początkowo dla języka, który nie był ani semickim, ani aryjskim.

Asyryjski hieroglifizm powstał jednocześnie z nauką, która pozostawiła ślad nader wybitny w rozwoju umysłu ludzkiego. Asyrya, która miała zdawna kastę uczonych i kapłanów, dała początek arytmetyce, geometryi, kalendarzowi, astronomii. Powstała w ten sposób nauka ścisła. Siedem planet dało swe nazwy siedmiu dniom tygodnia, siódmy przytem poświęcono odpoczynkowi. Podział koła i czasu pozostał tym samym do dziś. Zrodziła się również w Babilonie cała literatura mityczno-naukowa, usiłująca objaśnić początek świata i ludzkości. W chaosie tym, na poły fantastycznym, ukazywały się już zarodki naukowych hypotez, opartych na obserwacyi. Usiłowano już tłomaczyć sobie powstanie świata bez mieszania w to bogów. Samorodztwo było jednym z podstawowych dogmatów nauki babilońskiej. Świat wyszedł z chaosu, z urodzajnego i płodnego błota, pojmowanego na wzór napływów Eufratu i Tygru. Z chaosu tego, ożywionego miłosnym wiatrem, wynurzyły się kolejno twory nieżyjące i żyjące aż do człowieka. W podstawie tego poglądu leżała już idea rozwoju.

Miejscem pobytu pierwotnej ludzkości miała być niższa Chaldeja, uważana jako raj, punkt wyjścia wszystkich rzek z drzewem życia pośrodku. Dziesięć wielkich panowań mistycznych, obejmujących lat tysiące, miały przejść nad tym czasem pierwotnym. Potem nastąpił potop, z którego jeden tylko człowiek wraz z dobytkiem wyniósł życie. Założenie miast, Babilonu i Niniwy, przypisywano tytanom, z których najsławniejszym był myśliwiec Merodak, inaczej Nemrod. Świątynie Babilonu, szczególniej zaś olbrzymia wieża Borsippa, stały się źródłem legend.

Innem znowu ogniskiem podań, na południe od Babilonu, był stary gród Ur, oraz z mistycznym swym królem Orhamem, uważanym za prawodawcę i świętego.

Prastare te miasta: Ur, Babel, Erech, robiły na wędrownych semitów silne wrażenie i dawały początek baśniom. Koczownicy, pomijając Tygr i Niniwę, zatrzymywali się zazwyczaj w części Mezopotamii, zwanej Paddan-Aram, której głównemi ogniskami były: Harran, Sarug itd. Ze względu na cywilizacyę, kraj ten był nabytkiem Asyryi, rodzajem Babilonii aramejskiej. Mówiono tam językiem aramejskim i ta już okoliczność kazała zaprowadzić pewne zmiany w tradycyach Babelu i Uru. W Harranie myty babilońskiego pochodzenia ulegały różnym przeobrażeniom. Stąd miał także pochodzić Balaam, odgrywający ważną rolę w legendach izraelskich.

Pasterze znajdowali tu cykl idej chaldejskich, w formie najwięcej dla nich dostępnej, idej przepuszczonych już przez filtr semicki.

Tu więc mają swe źródło znane legendy hebrajskie. Pierwsza kobieta, pramacierz, zwała się po aramejsku Hawwa (Ewa); bohaterem potopu miał być człowiek umiłowany przez Boga: Hanok, inaczej Noh (Noe). Arka jego miała się zatrzymać na górze Ararat w Armenii, o czem nie wspominają teksty asyryjskie. Orham, król kraju Ur przyjął nazwę Abrahama. Główną zasługą króla Orhama, inaczej Abrahama, miało być zastąpienie ofiar ludzkich zwierzęcemi. Myt o Nemrodzie figuruje także w Biblii.

Wogóle — mówi Renan — legendy babilońskie, zawarte w pierwszych rozdziałach Genezy nie są brane z pierwszej ręki: przeszły one wprzód Paddan. Jest to Babilon, widziany przez pryzmat Harranu. Imiona przedpotopowych patryarchów, odpowiadających mitycznym królom Babilonu, zrodziły się również w Harranie.

Wędrujący semici wysłuchiwali tych legend i upraszczali je jeszcze bardziej. Cała teogonia i geneza babilońska, przeszedłszy przez mózgi aramejskie i pasterzy semickich, przybrała formę dziecinną, lecz dostępną. Opowiadanie o stworzeniu świata stało się lakonicznem, raj przybrał także inny wygląd, a topografia uległa zmianie: królowie mityczni, którzy, według tradycyj asyryjskich, panowali trzy do czterech tysięcy lat, stali się patryarchami, żyjącymi setki lat; potop przybiera charakter moralny, zjawia się jako kara. Myt o początku wieży Babel zmienia się również.

Tak więc, mówi autor, do tradycyj semickich wszedł ważny pierwiastek. Podstawą religii, która przyjętą została przez świat, jest elohizm prosty i moralny semickiego pasterza. Była to jednak podstawa niedostateczna. Potrzeba było jakiegoś wytłomaczenia początku rzeczy, kosmogonii zrozumiałej, historycznej. Mięszanina chaldejsko-hebrajska miała brak ten uzupełnić. Opowiadania chaldejskie, uproszczone, dały pierwszych dwadzieścia rozdziałów Genezy, jest to zaś jedna z najważniejszych części Biblii. Ludzkość sądziła, że ma przed sobą rzeczywistość historyczną, dostępną dla prostego i zdrowego rozsądku. Bądź co bądź w tem ułamkowem opowiadaniu żyje jeszcze stary duch babiloński...

(D. n.)

E. P.

---

*) Przy pisaniu artykułu korzystaliśmy głównie z dzieł: Krafft Ebbing, *Genesische Psychopathie*; Lombroso. *L'amore nei pazni*; Morea, *Des aberrations du sens génésique*; Letourneau, *Sociologie* (ustęp o ludożerstwie); Andree, *Anthropophagie*.

LITERATURA I SZTUKA.

PO ŚWIECIE.

IV.

Życie i listy Karola Darwina z dołączeniem autobiograficznego rozdziału. Wydał syn jego Fran. Darwin. *The Life and Letters of Charles Darwin*, including an Autobiographical Chapter. 3 tomy. Londyn, 1887.

Po książce niniejszej przestanie być chyba Darwin apokaliptyczną bestyą, zaklętą w kształty zwierzęcia, które był upoważnił do ludzkiego braterstwa, zstąpi też z legendowego koturnu, na którym go posadzili gwałtem wielbiciele-fantaści, a zjawi się na nowo tem, w czem zakładał całego życia swego ambicyę — człowiekiem i to posiadającym większą dozę tego człowieczeństwa, niż dozwolono mieć geniuszom. P. Fr. Darwin wypełnił nie sam tylko obowiązek synowskiego pietyzmu ale obowiązek szerszej miary wydaniem autentycznych papierów, mianowicie autobiografii pisanej dla dzieci i listów, przedstawiających dzieje postępu jego pracy i olbrzymienia teoryi pochodzenia gatunków.

W autografii i następnym rozdziale: „Wspomnienia z codziennego życia mego ojca“ — śledzimy najbardziej uderzający rys charakteru Darwina, prostotę, prawie pasterską. Wierzył w ludzi jak dziecko, nie przypuszczając w nich chytrości, choć ją przecież wykrył jako przemożne narzędzie walki o byt; niezdolny był do nienawiści, co najwięcej wzgardy, łagodzonej pobłażliwością. Wiedział, że jest wielkim, ale często o tem zapominał, więc mu ta wielkość nie krępowała dobrodusznej swobody. Kiedy był rozochocony, cała postać ożywiała się, twarz wyrażała najzupełniejsze oddanie się przedmiotowi, który go zajmował. Nic w nim wymuszonego; na cmentarzu „Priory Church“ w Malvern umiał dziecku swemu położyć tylko taki napis: „Dobre i drogie dziecko.“

Obok tej prostoty, najsurowsza uczciwość nawet względem siebie; znał swoje błędy i tak je potępiał, że pozwalało mu to widzieć cudze w jaśniejszem świetle. Nikt też tak mało nie rozumiał o sławie; już prof. Huxley przypomniał, że Darwina, jak Sokratesa największą uciechą byłoby znaleźć mędrszego od siebie. Liczne są tego lekceważenia zaszczytów świadectwa w listach, zwłaszcza w jednym, gdzie ich błahości przeciwstawia się cenność serdecznego, przyjacielskiego stosunku. Dowiedziawszy się, że otrzymał medal królewskiego Towarzystwa pisze do Hookera: „Między listami otrzymanymi dziś zrana otworzyłem pierwszy Col. Sabina; treść jego, bezwątpienia, zadziwiła mię, ale mimo że był nader uprzejmy, mało obeszło mię to, co zawierał. Otworzyłem potem twój, a taki jest wpływ serdeczności i przychylności miłych nam osob, że ten sam fakt w twojem przedstawieniu przejął mię rozkosznie aż do głębi serca...“

Cytuje p. Fran. Darwin wiele świadectw szlachetności i dobroci w ocenie drugich, zbiera anegdoty i żarty zaprawne głębokim angielskim humorem, z których warto zacytować jeden. Mówi Darwin o „liście pewnego niemieckiego homeopaty, namiętnego wielbiciela *Pochodzenia gatunków*. Sam on publikował podobną książkę, w której jednak zstąpił daleko głębiej, tłomacząc pochodzenie roślin i zwierząt zasadami homeopatyi oraz prawami ruchu spiralnego. Książka upadła w Niemczech; dlatego chciałbym ją tłomaczyć i publikować w Anglii.“

Jedną z najważniejszych części są sądy Darwina o samym sobie. Narzeka zwłaszcza nad wielu swemi ułomnościami, jak np. nad stopniową utratą estetycznego smaku. „Umysł mój — powiada — stał się rodzajem maszyny, wykręcającej prawa ogólne z wielkiego zbioru faktów; dlaczego jednak spowodowało to obumarcie tej części mózgu, od której zależą uczucia wyższe — nie pojmuję. Człowiek z umysłem wyżej lub silniej ustrojonym nie byłby — przypuszczam — ucierpiał tyle; gdybym miał na nowo rozpocząć życie, naznaczyłbym sobie jako zasadę — słuchanie nieco muzyki i czytanie nieco poezyi każdego tygodnia; tym sposobem zamarłe owe części mózgu nie zatraciłyby może swojej działalności. Strata tych poczuć ujmuje wiele szczęścia, szkodzi może inteligencyi, a prawdopodobniej moralnej stronie charakteru, osłabiając emocyonalną część naszej natury.“

Podobnie utyskiwał, że myśli powoli i brak mu żywości w formowaniu sądów, a przytem kombinującej wyobraźni. „Zdaje się, że jakaś fatalność zmusza mię stawiać zawsze pierwsze wnioski w formie fałszywej lub niezręcznej.“ „Znajduję niepospolitą trudność w wyrażaniu się jasno i treściwie, co jest mi powodem ogromnej straty czasu.“ Czytając dziś jego dzieła tak proste, tak zda się niewymuszone, można pojąć ile go kosztowały trudu.

Stan zdrowia pozwalał mu brać tylko mały udział w obowiązkach obywatelskich; bo i to sprawdza się, o czem wątpiono, że życie Darwina składało się z ustawicznych dolegliwości fizycznych, o których jednak bliżej nie dowiadujemy się od autora. Trzygodzinna dzienna praca już wydawała mu się „porządną“ — *a good day work*, równie jak krótka przechadzka; to też po krótkim peryodzie londyńskim wiódł życie familijne w Down, przerywane odwiedzinami przyjaciół i lekarzy.

Osobno, w drugim tomie zebrał p. Fr. Darwin korespondencyę tyczącą się pochodzenia gatunków i ułożył w sposób nadający książce doniosłą wartość naukową. Listy do Hookera, Lyella, Asa Graya są nieodzowne dla dziejów darwinowskiej teoryi; wykazują jeszcze raz, że teorya ta jest samoistna, niezależna od wyników poprzedników Darwina. On sam wyraża się o tej kwestyi bardzo stanowczo: „Powiedziano gdzieś, że powodzenie *Pochodzenia gatunków* dowiodło, iż przedmiot wisiał w powietrzu, iż umysły były na dzieło to przygotowane. Nie sądzę, aby to było prawdą, bo ja przy wielu okazyach wysondowałem niemało naturalistów a nie zdarzyło mi się znaleźć poszlaki, iżby który wątpił o trwałości gatunków; nawet Hooker i Lyell, choć słuchali mię z zajęciem, nie zdawali się nigdy dawać mi wiarę. Starałem się raz i drugi tłomaczyć ludziom rozumnym, jak pojmuję *Dobór naturalny*, lecz stanowczo — nie udało mi się. Malthus był więc jedynym ojcem duchowym Darwina. Lamarck jest jedynym, któryby mógł rościć sobie podobne prawo, na mocy innego ustępu: „Lamarck jest jedynym wyjątkiem — ten przestał wierzyć w trwałość gatunków; ale wiadomo, że Lamarck tłomaczył przerództwo jedynie prawami przystosowania i dziedziczności, podczas, gdy Darwin postawił pierwszy teoryę *Doboru*. Wallace, jedyny jego rywal zrzeka się dobrowolnie praw swoich: „Czułem“ — powiada on — „całe życie i czuję jeszcze najszczersze zadowolenie, że Darwin dokonał dzieła przełomu i że nie mnie było dane napisać *Pochodzenie gatunków*. Mierzyłem odtąd często moje siły i jestem pewny, że nie dorosły do tego zadania.“

Listy drugiego tomu pozwalają iść za powolnym, ostrożnym, lecz niewstrzymanym postępem ufności Darwina w własne teoryę; korespondencya ilustruje równoczesny ruch w naukowym świecie, stosunek naturalisty do Huxleya, Spencera itd.

Tom trzeci obejmuje dzieje poszukiwań i prac w zakresie botaniki; listy poświadczają znów tę genialną indukcyjną robotę, wychodzącą od komórki i docierającą do pewników wstrząsających w posadach stare światy ducha.

O religijnych przekonaniach ojca nie powiada biograf nic, uważając religię za „sprawę prywatną człowieka;“ co za nieznośna tajemniczość, co za bogobojna powściągliwość w ojczyźnie logicznej trzeźwości Stuarta Milla!..

Egrot.

LITERATURA POLSKA.

Klemens Junosza. *Przez różowe szkiełka*, powieść. Warszawa, 1887.

Jeżeli opowiadanie jest z góry przeznaczone na osłonięcie wyraźnej tendencyi — przypomina wówczas kiszkę, która ma być zapełniona siekanem mięsem dla wytworzenia kiełbasy. Że jednak i takie utwory beletrystyczne zyskały dziś na równi z prawdziwie artystycznymi racyę bytu, więc się z nimi, jako z faktem, liczyć potrzeba. A wtedy nastręczy się inne prawidło. Jeżeli posłannictwem bajki jest rozwiązanie zadania społecznego, rozstrzygnięcie wątpliwości z zakresu gospodarstwa narodowego, polityki lub innej ściśle praktycznej dziedziny — wtedy autorem rządzić winna powaga i logiczna sumienność, o ile go na nią stać. Bez nich, zamiast rozświetlenia kwestyi, nastąpi zagmatwanie, rozmyślny, świadomy obskurantyzm.

Na to, jako na prawdę elementarną, zgodzi się chyba każdy — a w takim razie zgodzić się będzie musiał, że walka z ideą nienawistną, w powieści, zapomocą postawienia w miejsce apostoła — idyoty, będzie tryumfem nader tanim. Zwycięzca jest wtedy strzelającym do manekina.

Ideą niesympatyczną p. Klemensowi Junoszy jest hasło zbliżenia się „dworu“ do chaty na taką odległość, by znikły pańszczyzniana nieufność stron obu, tyrania silniejszego nad słabszym, odosobnienie, fatalne dla moralności jednych i drugich, słowem wszystkie cenne pamiątki minionych czasów. A któż jest rzecznikiem tego wpływu demokracyi, paczonego może czułostkowością, ale, bądź co bądź, koniecznego prędzej czy później? Bohater, tak starannie wyżyłowany ze zdrowego rozsądku, że najgłupszy chłop jeszcze w porównaniu z nim jest przysłowiowym Salomonem.

Wiktor, znalazłszy się niespodzianie dziedzicem Kalinówki, pozwala chłopom kraść i nietylko że nie skarży ich do sądu, ale słodkie kazanko na temat sąsiedzkiej przyjaźni przypieczętowywa rublem, pozwala puszczać sobie z dymem stodoły, gospodarować swobodnie po dworskim lesie i polach. Chociaż obywatele okoliczni miarkują go w zapale chłopomańskim, on wciąż marzy o niedalekiem braterstwie, wierzy święcie, że polityka tolerowania zbrodni przywróci na wsi złoty wiek i rzecz prosta, w tej donkiszoteryi szczególnego nabożeństwa pada powalony chorobą. Gdyby można tu było przytoczyć parę dyalogów, jakie prowadziła ta parodya utopisty z łotrami, nie potrzebowalibyśmy zapewniać wcale, że autor pożyczył ową postać nie od rzeczywistości i nawet nie od intuicyi, ale od tych ponurych zakątków niedoli, z których jeden mieści się na ulicy Bonifraterskiej, a drugi rozweselać będzie Tworki. Mała próbka nie zawadzi: „Tę sosnę (skradzioną) niech sobie wezmą (złodzieje), będzie to dla nich wynagrodzeniem za to, że usłuchali głosu prawdy i życzliwości...“ Rozumie się, że obdarowani „ze zdumieniem po sobie spojrzeli.“ W rzeczy samej, jakie to dziwne! I *nota bene* z tak dowcipnej ze strony poszkodowanego, a właściwie p. Junoszy, zachęty nieomieszkali dużo jeszcze razy skorzystać.

Sądzę, że wobec tego zbyteczną poważnie zastanawiać się nad resztą osnowy powie-

ściowej. Dodać możnaby tylko, że znalazła się w niej i druga ofiara obłędu komicznego, który autor z niewinną miną podaje za jednoznaczny z kierunkiem ludowym w publicystyce. A jest nią Wanda Mirkowiczówna, córka ziemianina, z wykształceniem wyższem i rozumem nietuzinkowym. I ona uwierzyła w ewangelię Wiktora, i ona zapłonąwszy doń miłością — pomimo wybornego wychowania i należycie wyrobionej inteligencyi, nie zraziła się do kretynizmu jego, chociaż widziała, jak niedołęztwo i złudzenie warzą mu kaszę w postaci sprawy kryminalnej o podpalenie własnego folwarku, powstałej z fałszywych zeznań istotnego podpalacza, znanego już nam zbója.

Lecz gdyby nawet niefortunna owa para nie została obraną z ostatniej szczypty rozumu, gdyby jej postępowanie znajdowało jakiś odpowiednik na jawie, „różowe szkiełka" nikogo by nie przekonały. Bo sama budowa powieści jest tylko dobrą chęcią pokazania, jak z jednej przyczyny wynikają zgubne skutki. Na bohatera walą się klęski jedna za drugą, tj. zaziębia się, gorączkuje, i mrze na suchoty, ale zaród ich przywiózł z sobą już z Warszawy. Czyż więc zasługą układów o służebności i zawodów gorzkich w kampanii nadstawiania drugiego policzka, z miłosierdzia chrześciańskiego — jest choroba śmiertelna? Bynajmniej! Nie będzie śmiałością przypuścić, że nawet przy wprost odwrotnej gospodarce, tj. przy „układaniu się" z *chłopkami* a nie z chłopami albo w nieodstępnem towarzystwie wesołego kółka sąsiedniego — katastrofa równie niechybnie nastąpiłaby, jeno z pewnością prędzej.

Czego jednak radzi sam autor trzymać się w stosunkach z ludem? Odpowiedzią na to — Żarski, rządca, surowy, ale sprawiedliwy i miłościwy. Ideał przepiękny, tylko pytanie, czy na nim kończą się już wszelkie misye i obowiązki wykształconego rolnika względem ciemnych mas. Zresztą nie tu miejsce i nie naszą jest rzeczą kreślić programy społeczne, ale tylko oceniać artystyczną polemikę zdolnego gawędziarza: fakt, że jest całkiem chybiona. Sentymentalizm w demokracyi nikomu jeszcze nie zaszkodził; głupkowatość za to jest niebezpieczną, a p. Junosza pragnąłby niejednemu pewnie czytelnikowi zamarkować istotę świeższych prądów w stosunkach dwóch klas. Dobrze myślący socyolog może jednak pocieszać się, że na te plewy nie złapią się najgłupsze nawet wróble, bo ujrzą zdaleka wyłażącą wszystkimi bokami tendencyę i znudzą się suchemi tyradami i rozprawami. Po tylu przepysznych nowelach i humoreskach, autor sięgnął po laury bardzo mędrkującego pisarza. Przedsięwzięcie co najmniej ryzykowne. Jeżeli wawrzyny spadną, to chyba za humor mimowolny no i wreszcie za typ Jojne Imbryka, wyśmienity jak wszystkie tym podobne w nowelach p. Junoszy.

Cezary Jellenta.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Regulator naszych pism prawomyślnych. — Nastawianie według niego wskazówek. — Głos jego dzwonu w sprawie żydowskiej. — Potworne zjawisko, a na niem drapieżne ptactwo. — Sznurek na faryzeuszów. — Hołd fanatykowi. — Potrzeba rozbratu z ulicznikostwem dziennikarskiem. — Wywróżona klęska. — Niewygasły ród jednodniówek. — Targ cacek paryzkich nad Wisłą. — Tylko my jedni. — Ostrzeżenie dla łatwowiernych.

Przegląd katolicki jest dla naszych pism zachowawczych czemś w rodzaju *Nordd. Allg. Ztng* dla konserwatywnej prasy niemieckiej — zegarem ratuszowym, według którego regulowane bywają wszystkie prawomyślne zegarki. Ich właściciele ustawicznie spoglądają na jego czarną tarczę, a dostrzegłszy najmniejszą różnicę, natychmiast podkręcają wskazówki swych czasomierzów. Zdarza się nieraz, że ów regulator stanie lub go noc zakryje; wtedy naturalnie cebule, cylindry i ankry naszego konserwatyzmu idą według własnej maszyneryi i wpadają w znaczne sprzeczności: gdy jeden oznacza wschód słońca, drugi — południe, trzeci — zachód. Zwykle nieomylny regulator, zauważywszy ten zamęt, puszcza się w ruch, zapala lampkę ze swą tarczą i pokazuje zbłąkanym zegarkom należytą godzinę. Jak one szybko się nastawiają do tej godziny, jak ich posiadacze dowodzą, że o niej wiedzieli, chociaż wskazówki pospieszyły się lub opóźniły! Zupełnie jak organy konserwatywne i narodowo - liberalne w Niemczech, występujące za monopolem tytuniowym i Bułgaryą, gdy w *Nordd. Allg. Ztng* spotkają artykuł „wysoce urzędowy" przeciw monopolowi i Bułgaryi. Na całej linii odbywa się odwrót, usprawiedliwiony zapewnieniem: właściwie my zawsze byliśmy tego zdania...

Coś podobnego zdarzyło się obecnie z „kwestyą żydowską." Wiadomo, jak ona jest rozwiązywaną w naszych pismach prawomyślnych, które z niej robią prawdziwe *steeple chase*, ścigając się na żydach do... wieży kościelnej. Zdawało się, że *Przegląd katolicki* już z samej natury swojej pochwala ten sport z niewiernymi. Tymczasem pewnego dnia, ku wielkiemu zdumieniu wszystkich zegarków prawomyślności, wydzwania on (według *Niwy*), że antisemityzm — to „jedno *z potwornych* zjawisk *niemoralnego* rozwoju życia społecznego," że szerzące go dziennikarstwo należy do tej kategoryi, która „*dla zysku* gotowa posługiwać *każdej* namiętności politycznej," że „*drapieżne to ptactwo*, chciwe żeru, zbiega się tam, gdzie podpatruje wybuchającą walkę." „Rozum i sumienie chrześciańskie — powiada *Przegląd* — nie mogą nie potępić hasła i taktyki antisemitów. Katolik może walczyć przeciwko nadużyciom i nieprawościom żydowskim, tak jak przeciwko wszelkim innym czynom szkodliwym dla społeczeństwa; może odkrywać kręte ich drogi, może wzywać do przeciwdziałania im, ale nie godzi się mu brać udziału w walce *rasowej*, obrażającej sumienie katolickie i zasadę, na jakiej się wspiera i konsekwencye, jakie z niej wypływają." Przyznać trzeba, że *Przegląd katolicki*, który tak rzadko wysuwa główkę z żółwiej skorupy i rozgląda się po świecie szerszym, zakreślił swe stanowisko najdłuższym promieniem, jakim je w jego teoryi ciaśniejszej — według Prusa — niż trzewik panienki, zakreślić można. Nie opuszczając gruntu religijnego, doszedł do wniosków rozumnych i uczciwych, które szacunek budzą. Słowa te zwłaszcza na tle zwykłych jego fantastycznych podmalowań odbijają się tak pięknie, że dla wartości całego obrazu, przedstawiającego „drapieżne ptactwo," przebaczamy autorowi żółciowemi farbami namazaną karykaturę „liberalnej inteligencyi." Główną bowiem wagę ma tu publiczne wyznanie organu katolickiego, że nasz antisemityzm jest hańbą rozumu i sumienia, „jednem z potwornych zjawisk niemoralnego rozwoju życia społecznego."

Wystawiam sobie osłupienie cebul, cylindrów, ankrów, zegarów stołowych i kuchennych naszego antisemityzmu, gdy spostrzegły tak nastawioną wskazówkę swego regulatora! Wystąpić przeciw niemu nie odważą się nigdy, chociaż by im kazał widzieć południe w północy; powtórzyć tę klątwę — przykro; więc tylko po cichu zasuwają w swych organach regestr antisemicki. *Niwa* „przytoczywszy z prawdziwą pociechą (no, no) te poglądy," zrobiła znaną minę w takich wypadkach i oświadczyła, że one są „*niejako* potwierdzeniem" jej mniemań i na numer bieżący — schowała „tego pana od żydów i beletrystyki pozytywnej."

Dla oczyszczenia naszej opinii publicznej z miazmatów, dla oszczędzenia społeczeństwu słabemu wstrząśnień niszczących, sporów bezmyślnych, nienawiści bezpłodnych lub płodnych w następstwa zgubne, byłoby bardzo pożądanem, ażeby pisma konserwatywne wsłuchały się uważnie w głos *Przeglądu kat.* i zapamiętały go trwale. I owszem, walczmy wszyscy z niecnotami żydów, ale nie podpalajmy namiętności rasowej i wyznaniowej, zwłaszcza wtedy, kiedy z powodzi winniśmy ratować życie i zasoby narodu. Niecna robota nie ustanie, ale nie wydziobujmy oczu i mózgu istotom niewinnym dla przygotowania padliny moralnej, którą zostawić należy „drapieżnemu ptactwu." Konserwatyzm poważny, szanujący swoją chorągiew i hasła, powinien rozbratać się jawnie i stanowczo z podążającą za jego szeregiem łobuzeryą dziennikarską, pokrewną zwolennikom rozprutych pierzyn i wytłuczonych szyb żydowskich. Większą od nietolerancyi złych i ograniczonych pismaków sromotą jest tolerancya dla ich maligny, obłędu lub bandyckich napaści, którym z zadowoleniem przypatruje się prasa konserwatywna, a za nią pewne klasy społeczne. Bij żydów! — krzyczy urwis, a ten i ów prawowierny chrześcianin mu przyklaskuje. Ej, panowie, dajcie wy pokój biciu i myślcie lepiej o tem, jakby od niego zabezpieczyć wszystkich. Jest to igrzysko niegodne ani ludzi, ani obywateli kraju, ani czasu, w którym się taka komenda rozlega. Długo i niezmordowanie dowodziliście prasie postępowej, wy z prawicy, że dla dobra ogółu trzeba łagodzić, zamiast rozdrażniać sprzeczności społeczne; że warunki życia nakazują zgodę, i cóż się z waszą filozofią zrobiło, chociaż te warunki nie zmniejszyły potrzeby działania łącznego? Dziś, dziś—powtarzam — *hep, hep!* rozlega się krzykliwiej niż kiedykolwiek i tak zaciekle, że aż organ duchowieństwa katolickiego, który przecie w żydach kochać się nie może, uznał za stosowne napomnieć ostro swą rzeszę. Ksiądz, karcący swych ukształconych parafian za krzywdy wyrządzone żydom — to widok ciekawy, znamienny, ale smutny.

Byłem raz prorokiem: przepowiadałem, że „jednodniówka," wydana przez Paryż na korzyść Murcyi, stanie się dla nas klęską i sprowadzi w literaturze powódź większą od wylewu rzek hiszpańskich. Wróżbę zaś moją oparłem na tym fakcie, że polak zapamiętale lubi wszelkie wydawnictwa cienkie, urozmaicone i rysunkami przeplatane. A taką był właśnie ów nieszczęsny zbiorek paryzki, którego obfity transport rozchwytaliśmy w ciągu paru dni. Ile od tego czasu wyleciało u nas na świat tego gatunku motylów, zliczyć nie zdołam. Ci, którym one już obrzydły, pocieszali się nadzieją, że i te twory, jak cri-cri, kwestya rzymska, krynoliny — przeminą, że Paryż coś świeżego wymyśli. Niestety, nadzieja ta okazała się złudną, bo chociaż Paryż wymyślił już wiele innych konceptów, Warszawa dalej rodzi „jednodniówki" (na szczęście niektóre z nich bywają przeznaczone wyłącznie na użytek prywatny). Bez kugla szabas, bez poświęcenia nowa restauracya, bez ks. Chełmickiego prospekt gazety prawomyślnej, bez wąsa szlachcic i bez jednodniówki przedsięwzięcie dobroczynne u nas prawie odbyć się nie może. Zaledwie przed tygodniem wyszła jeszcze jedna, którą niech Bóg na sądzie ostatecznym przeoczy, bo by ją srogo pokarał. I co to komu szkodzi, że kilkunastu lub kilkudziesięciu ludzi nadrobi „aforyzmów" w jedno sito? Uwaga najsłuszniejsza, ale też o co innego mi idzie, mianowicie o to, że u nas znaczenie jednodniówek, numerów okazowych, zbiorków chwilowej wartości, swoich i obcych, podniesiono w prasie do stopnia pierwszorzędnych wypadków literackich. Sążnistymi artykułami polecane są uwadze publicznej zabawki, cacka lub wprost reklamy wydawnicze. Powtarzam: nietylko swoje, ale

i obce. *Figaro* paryski wydaje corocznie podarek ilustrowany: są w nim miłe urywki i ładne rysunki — ale czyż on posiada tak wielką wagę, ażeby prasa polska poświęcała mu tomy rozpraw, ta prasa, która milczeniem pomija cenne dzieła w języku rodzinnym drukowane? Czy warto tak zastanawiać się nad bombonierką literacką dziennika sowizdrzałów i ladacznic paryskich? Czy godzi się nieopatrzną chwalbą wywabiać z kieszeni czytelników pieniądze na taki towar, których często — dziś za często, brak na pożyteczne książki swojskie lub na pomnikowe zagraniczne? Gdzie w tej lekkomyślności podziewa się sumienie — nie wiem. „Jednodniówki“ francuzkie idą do Anglii, Niemiec, Hiszpanii, Włoch — nigdzie nie budzą zajęcia i dopiero nad Wisłą, nad tą nieszczęśliwą Wisłą, której brzegi coraz bardziej obrastają chwastem mdłym lub trującym, odzywa się dla nich zapał i uwielbienie. Możnaby się z tego uśmiać serdecznie, że polacy skąpi dla swojej literatury rozkupują w lot *Noële* paryskie, gdyby nie trzeba było takim objawem głęboko się smucić. W ostatnich miesiącach widzieliśmy szereg dzieł wartościowych, przesuwających się bez należyjszej wzmianki lub zaznaczanych w prasie cyrkułowym meldunkiem, w tej samej prasie, która niezmordowanie roztrębuje sławę zagranicznych „jednodniówek.“ Nie żądamy fuszerek krytycznych, rozpraw wołów o kompasie lub spektroskopie, ale chyba można żądać rzetelnego objaśnienia ogółu, że w jego języku wyszła ta lub owa książka, tej lub owej treści, zasługująca na to, ażeby ją kupić i przeczytać. Natomiast słyszymy głosy kogutów, nawołujących kury do znalezionego na śmieciach ziarnka, które wiatr z obczyzny przywiał.

Więc chodzi mi o to, ażeby społeczeństwo nie utrwalało się w przekonaniu, że przednim dla niego pokarmem duchowym są wystrojone i wypaczulowane jednodniówki, puste orzechy złocone, kiście ciętych papierów kolorowych i świeczki barwione, lecz ten chleb, swojski czy obcy, który jedynie żywi — książka poucząjąca, ten napój, który jedynie wzmacnia — utwór sztuki. Nie wierzcie lekkomyślności, która was do pianek francuzkich wabi: tem się nie karmi żaden naród zdrowy, a czemuż ma to czynić i nasz — duchowo wynędzniały, zagłodzony, roznerwowany? O ile prasa (są w niej dość liczne dodatnie wyjątki) nie uczy społeczeństwa i nie wskazuje mu drogi umysłowego rozwoju, niech ono samo tej drogi szuka i durzyć się nie da. Od wielu redakcyj lepsza księgarnia, do niej idźcie, a jeżeli wam rady trzeba, otrzymacie rozumniejszą. Tam was nikt na jednodniówki namawiać nie będzie, tam wreszcie zobaczycie książki, które przed wami niektóre pisma tają.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Pan Huszcza i sprawy czynszowe. — Zatargi niemiecko-chłopskie. — „Pewne okoliczności.“ — Ziemiowstręt, czyli mieszczańska praktyczność. — Podręcznik moralno-gospodarczy dla oficyalistów wiejskich. — Przedsiębiorczy obywatel. — Konkurs studentów szkoły rolniczej. — Solidarność chłopska.

P. Tadeuszowi Huszczy, szlachcicowi litewskiemu, skóra ścierpła pod wpływem zatargów czynszowych. Więc ucieka (w *Kraju*) pod płaszcz bezpieczny, skąd szuka przyczyn sporów *głębiej*, a zarazem *niedaleko*, bo „w dążeniu człowieka do posiadania jaknajwięcej i zdobycia jaknajłatwiej.“ Powiada dalej, że maksyma ta nie może być jednakże prawem w normalnie (?) ukształtowanem społeczeństwie, „które opiekę swą rozciąga na wszystkie klasy ludności“ (!). Miał ów szlachcic robotę nielada w pow. telszewskim. Nie próżnowały tam i zjazdy komisarzów włościańskich, zasypane prośbami czynszowników, pod których miano ogólne podszyli się: „parobcy na gruncie,“ tj. trzydniowi robotnicy dworscy, osadzeni na krańcach, a często i pośród pól dworskich, w obywatelskich budynkach, pobudowanych przeważnie po uwłaszczeniu włościan. W umowach zastrzeżoną mają pewną ilość zboża gotowego i wynagrodzenie pieniężne. Następnie: parobcy dworscy na ordynaryi (fornale) z wynagrodzeniem w gotowem zbożu i pieniądzach, nadto posiadają grzędy w dworskich ogrodach warzywnych. Nareszcie rzemieślnicy, najczęściej niemcy lub żydzi (kowale, stolarze, smolarze itd.). Żądali oni: 1) pomieszkania „pod jednym dachem z właścicielem“ — dodaje p. Huszcza (tu mgła uniesienia oczy mu zasłoniła), 2) grząd w ogrodach, 3) pastwisk z dworskiem bydłem i 4) pięć miar kartofli na każdem polu (?). Są to ludzie odnawiający corocznie umowy i przenoszący się na dworskich furgonach z jednego folwarku do drugiego. Spróbowali szczęścia i leśnicy, mający przez dwór urządzone gospodarki na krańcach lasu (z obfitą paszą i opałem).

„Proletaryatu u nas nie było zupełnie — powiada autor — bo najbiedniejszy robotnik na gruncie, chociaż nie jest właścicielem ziemskim, ale posiada konia, dwie, trzy krowy, narzędzia robocze itd. I było dla wszystkich miejsce i byli zadowoleni, bo uczciwemu robotnikowi nietylko że nie brakło zajęcia, ale mógł zawsze dowolnie wybierać, gdzie lepiej i gdzie więcej płacą.“ Czegoż więc chcieli ci ludzie w szczęśliwej krainie, gdzie niema wcale proletaryatu? Oto usiłowali dowieść, pomimo teoryj antiekonomicznych i anti-logicznych p. Huszczy, że jako robotnicy są „proletaryuszami.“ Żaden człowiek nie jest wolny od marzeń osiągnięcia szczęścia doczesnego. Lud telszewski ma rozkołysaną wyobraźnię za pieniądze własne, wyciągane mu przez rozmaitych malarzów rozkoszy życia. Nie dziw więc, że oliwa nalana na ich ciemne mózgi, płonie obrazami rajskiej pielgrzymki po ziemi. Gdy mamidła nie dały się pochwycić, gromady ochotników uzbroiły się w strzelby i drągi nabijane ćwiekami. Inaczej być nie mogło, skoro niema wpływowych, jasnych tłomaczów prawa. Wszelkie przepisy mają drobne haczyki, na których pokątni doradcy umieją zręcznie wieszać za mozg i serce żądnych dobrobytu. Gładkie i przejrzyste ustawy miałyby tę zaletę, że nie budziłyby naprożno uśpionych żądz i namiętności ludzkich. Dziś w Telszewskiem już cicho. Bo tam — woła w porywie kaznodziejskim p. Huszcza — sprawiedliwość zwyciężyła „słusznie i zgodnie z państwowem pojęciem o własności.“

Innego rodzaju „rozruchy agrarne“ zaszły na spokojnem Polesiu wołyńskiem, w okolicach starożytnej stolicy drewlańskiej — Iskorości. Poczubili się tam niemcy z włościanami o lasy i pastwiska. Stoczono podobno kilka krwawych bójek i mocno poturbowano miejscową władzę policyjną. Przybysze germańscy starają się utworzyć tam niezawisłe kolonie *Vaterlandu*. We wsi Lesowicze (pow. owrucki) stawili opór komisarzowi sądowemu. Jeden z dowódców, Nachtigal, zawołał: „Co nam ruskie prawa! My nie rosyanie, my prusacy!“ Niestety, pruska buta i pewność w proch się rozsypały przed sądem... Czterech kolonistów, po pozbawieniu wszystkich szczególnych praw i przywilejów, skazano na więzienie od roku do dwóch i pół lat.

Ci zuchwalcy z nad Sprei mają oryginalne sposoby uczenia rozumu. W Łodzi, p. Karola Roedera, fabrykanta, oskarżył robotnik o pobicie. Obrońca dowodził, iż jego klient tylko „stuknął“ skarżącego palcem w czoło, chcąc w ten sposób wyrazić „według swego zwyczaju,“ iż robotnik jest głupi. Naturalnie tym sposobem chciał nieuka oświecić. Sąd uznając ten zwyczaj „stukania“ za niewłaściwy, skazał p. R. na 5 rubli kary lub dzień aresztu. Zbyt kłopotliwa i kosztowna lekcya. Fakt powyższy powinien nauczyć przezornych możnowładców większej praktyczności: lepiej pozostawić umysł robotnika w ciemnocie, niż forsownem udzielaniem światła narażać się na grzywny i... kozę.

Gdzie szukać miejsca dla sum sierocych po następnym wypadku? Rada familijna ulokowała 12,500 rs. nieletniej w niecałych 63,000 rs. szacunku na majątku położonym w najpiękniejszej glebie pszennej 1-ej klasy, liczącym 3,695 morgów, w tem 1,095 roli ornej, 917 łąk przeważnie irygowanych i 1,306 mórg lasu, starodrzewu. W r. 1882 Towarzystwo kredytowe ustanowiło taksę wartości tego mienia na 141,394 rs. (nie wliczając w to drzewa na 100,000 rs. co najmniej), czyli że sama pożyczka na dobra te wyniesie 70,000 rs. Pomimo to fundusz nieletnich „może przepaść,“ jak utrzymuje jeden z członków rady familijnej, bo właściciel nie zdążywszy zaciągnąć nowej pożyczki z Towarzystwa, umarł, „zostawiwszy majątek na łasce losu, a grosz sierocy na łasce bożej.“ Jedyna rada, kupić tę posiadłość, czego opiekunowie nie mogą zrobić, z powodu braku odpowiedniego kapitału na najpierwsze potrzeby „zdewastowanej“ (ten śliczny wyraz zawdzięczamy *Krajowi*) fortuny, zresztą opieka, trzymając się ściśle zakresu swych czynności, „nie chciałaby się wdawać w spekulacye.“ Niebezpieczeństwa powyższe *Gaz. rolnicza* przypisuje „pewnym okolicznościom,“ których nie chce wymieniać, jak sądzę, przez zbytnią drażliwość. Bawi się natomiast w mgliste ogólniki. *Okoliczności* takie i u nas kwitną „dzięki owczemu pędowi społeczeństwa.“ Organ ziemiański, zaznaczając dawniejszą gorączkę kupowania majątków choćby lichych a drogich, rozpacza nad dzisiejszym „szałem“ *ziemiowstrętu*. Sfery mieszczańskie ogarnął taki popłoch, że posiadanie ziemi, choćby w spadku otrzymanej, uważają za klęskę. I jabym wraz z *Gazetą* nie dziwił się, usłyszawszy na bruku warszawskim nowe przekleństwo, w którem obok sakramentalnego „pioruna“ zgrzytnąłby majątek ziemski. Zamiast wyszukiwania dziwacznych przyczyn własnej ruiny, zawołajcie panowie z bohaterem Molierowskim: *Tu l'as voulu Georges Dandin*! Nie ma co teraz ciskać gromów na tchórzów nieherbowych. Mieszczańska praktyczność nie zna się na czułościach. Szkoda jednak małoletnich, bezwłasnowolnych, którym nędza może w oczy zajrzeć z winy.... tylko losu. Nie chciałbym też być w skórze opiekunów, gdy pomimo ich sumienności najpewniejsza hypoteka zawodzi. Brr!

Od tych ciężkich obrazów ucickam do Stadników (na Wołyń), majątku p. Adolfa Jełowickiego, b. marszałka szlachty. Praktyczny ten obywatel i wzorowy gospodarz, na mocy własnego doświadczenia ułożył przystępny podręcznik dla swych oficyalistów. Są tam wskazówki o uprawie roli, siewie, zbiorach, wytwarzaniu i użyciu nawozów, hodowli inwentarza itd., słowem, dokładne przepisy dla pracowników. Niewłaściwe tylko połączenie katechizmu moralności w tonie kaznodziejskim, co wielu sumiennych i ambitnych ludzi boleśnie dotknąć może. Na usilne prośby sąsiadów autor wydrukował sto egzemplarzy swej broszurki. Już i z dalszych okolic zaczynają się zgłaszać ziemianie po tę nowość. P. J., chcąc zadowolić wszystkich, postanowił książkę swą uzupełnić i dla ogółu wydać. Autor-obywatel swą gospodarnością rozbudza ospałych braci. Grunty w jego dobrach wogóle nizkie, zasiane były jeziorkami, porosłemi trzciną i lichą trawą. Właściciel za pomocą dołów tanich i prostych własnego pomysłu, nieużytki osuszył, tak iż dziś rośnie tam bujna pszenica, rzepak itp. Rząd wysłał delegata dla obejrzenia tych robót.

Daleko wyższym od moralno-gospodarczych i egoistycznych przepisów p. Jełowickiego jest pomysł studentów instytutu

rolniczego w Nowej Aleksandryi (Puławach). Przed kilku miesiącami ogłosili oni konkurs na temat: Wykazać najwłaściwsze sposoby wynagradzania oficyalistów i robotników (wogóle stałej służby folwarcznej) w gospodarstwie rolnem, oraz środki zapewniające im samym i ich rodzinom byt w razie starości lub kalectwa. Przytem autor winien wykazać, jaki wpływ wywarłyby na rolnictwo owe najwłaściwsze w tym względzie reformy. Z powodu zbliżającego się ostatecznego terminu nadsyłania prac, projektodawcy polecają się pamięci publicznej. Nagrodę wyznaczyli sami z własnych funduszów rs. 200, nadto z ofiar dwóch osób pobocznych powstaje rs. 100.

Tydzień piotrkowski opowiada fakt znamienny solidarności włościan, których doświadczenie nauczyło jeżyć się przed krzyżackim wyzyskiem. Na targu mnóstwo chłopskich wozów z kartoflami.

— Cóżeście to przyjaciele, tak dużo nawozili dziś ziemniaków? — ktoś zapytuje.

— A bo nowy dziedzic z S. zakłada tam fabrykę krochmalu, a zawiadowcy jej obębniali, że będą płacić po 6 złotych korzec.

— I cóż, płacą?

— Bogać tam płacą! Niemiec choć taki bogaty, od tego szwab, aby nas oszwabił, że i żyd lepiej by nie umiał. Dają nam teraz po trzy złote.

— I zawieziecie im za tę cenę?

— Jeno kilku pojechało, reszta nie. Znalazł się między nami taki, co za te same pieniądze zabierze nasze ziemniaki na zastaw, dając każdemu zaliczkę. Który z nas lepszego znajdzie kupca, to zaliczkę zwróci, a kartofle drożej sprzeda. Nie znajdzie — to odstąpi taniej, ale nie szwabowi z Sokolnik.

Drogomir.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Oszczędności kolei Nadwiślańskiej polegają na następujących zmianach: urzędnikom zwiększono liczbę godzin pracy, zniesiono wszelkie zapomogi, wynagrodzenia oddzielne, roboty wieczorne, w godzinach pozabiurowych. Fundusze, przeznaczane dotąd na gratyfikacye, polecono zapisać na oszczędność, zmniejszono wydawanie lekarstw. Na otwierające się wakansy po ustępujących lub zmarłych postanowiono, o ile możności, nowych urzędników nie przyjmować i w ten sposób stopniowo zmniejszać personel.

Zrównanie. *Rusk. Kur.* pisze: „Wiadomo, iż obecnie kresy państwa, jak Królestwo Polskie, daleki Wschód, cały Kaukaz, obszerny Turkestan, „zagraniczna“ Finlandya, a nawet Syberya, posiadają własne zarządy, oparte na specyalnych podstawach. Rozproszenie władzy w państwie, rzecz prosta, wymaga oddzielnych ustaw, instytucyj miejscowych i centralnych, tudzież wysokich etatów poszczególnych zarządów, pociągając za sobą zwiększenie podatków, ciążących na ludzie. Wobec tego, jakeśmy słyszeli, powstała teraz w sferach rządowych myśl, ażeby jednocześnie z reformą gub. Nadbałtyckich, zreorganizować wszystkie pozostałe kresy Rosyi, w duchu jednakowych praw państwowych, bez wszelkiego rozróżniania poddanych, z nadaniem im praw równych z przeważającą w Rosyi ludnością, ma się rozumieć z wyjątkiem dla żydów, cyganów i koczowników w Azyi.“

Przepisy, dotyczące odpowiedzialności fabrykantów za kalectwo i śmierć robotników, wynikłe z niedbalstwa zwierzchników, wprowadzone będą od nowego roku do Królestwa Polskiego.

Nadzór nad sprzedażą książek i pism peryodycznych na dworcach kolejowych polecono miejscowym zarządom żandarmeryi.

Stowarzyszenie kapitalistów ruskich, wobec chwilejności cen zbożowych, postanowiło podobno wybudować w miejscowościach nadgranicznych wielkie spichrze w celu przechowywania ziarna na czas zniżki cen. Obrano na to punkty: Sandomierz, Płock, Piotrków i Kielce.

W Berlinie, jak donosi *Swiet*, utworzyła się wielka kompania handlowa, mająca pomagać do rozpowszechnienia na rynkach niemieckich produktów rolniczych ruskich. Ponieważ główny rynek berliński połączony jest z siecią dróg żelaznych, więc stowarzyszenie uzyskało znaczną zniżkę taryfy na towary przychodzące pod jej adresem. Niedawno, nadawszy sobie nazwę „Królewskiej ekspedycyi towarów,“ rozesłało znaczniejszym przemysłowcom i rolnikom ruskim propozycye dostawy do Berlina: mięsa, ryb, owoców i produktów gospodarstwa wiejskiego.

Konkurs międzynarodowy piękności ma się odbyć w Spa. Nagroda pierwsza to tysięcy franków, druga 5 tysięcy.

Poczytność romansów. Za ogłoszenia o drukującym się obecnie w *Petit journal* romansie *Les remords d'un ange*, porozlepiane na różnych murach i ogrodzeniach w Paryżu, zapłacono 50,000 franków.

Nowa kuracya obłąkanych, według systemu lekarzy niemieckich wprowadzoną ma być w Finlandyi. Sposobem próby senat finlandzki postanowił płacić przez lat trzy po 5,000 marek rocznie. Chorzy wysyłani będą nie do szpitalów specyalnych, lecz na wieś, „na świeże powietrze,“ pod nadzór osób prywatnych.

Uczoność niemiecka. *Illustrirte Welt*, pismo wychodzące w Stutgardzie, pomieściło drzeworyt z obrazu W. Szernera „Pancerni“ z podpisem „Czerkiescy pancerni.“ W tekście obszerny traktat o czerkiesach kaukazkich, o ich „obecnej“ walce za wolność, a w końcu zdziwienie, że dziś jeszcze w epoce kul stożkowych, mogą ludzie ubierać się w pancerze.

W Finlandyi toczy się spór o języki fiński i szwedzki, używające praw jednakowych. Stronnictwo fińskie ludowe na nadchodzącym sejmie ma żądać uznania mowy swojej za urzędową. Jedno z pism szwedzkich w Helsingforsie odzywa się ironicznie: „Dobrze, iż przynajmniej finomani o tyle są łaskawi i liberalni, że zamierzają pozostawić nam wolność używania języka szwedzkiego w rozmowach prywatnych.“

W Tyflisie izba sądowa roztrząsała sprawę Maryi Nikolskiej o wielomęztwo i protojereja Łazarewa o wydawanie podsądnej fałszywych dokumentów. Obojga skazano na pozbawienie praw i wysłanie na Syberyę.

W Mińsku litewskim odebrał sobie życie bardzo zamożny i niemłody obywatel ziemski, Władysław Wańkowicz.

Rejenci. Nowe przepisy, znoszące nieusuwalność rejentów, znalazły już zastosowanie. W Petersburgu, z rozkazu prezesa izby sądowej, zamknięto dwa znane kantory rejentalne: Biziajewa i Ryndina.

Uniewinnienie. Senat ogłosił rezolucyę w sprawie b. naczelnika pow. mazowieckiego, Antonowa i mieszkańca m. Warszawy, Koplisa, uznanych przez izbę sądową warszawską za winnych, pierwszy zdzierstwa, drugi — wspólnictwa. Departament kryminalny senatu uznał obu za niewinnych i zniósł poprzedni wyrok.

Apteki. Departament medyczny złożył Radzie państwa projekt nowej ustawy o aptekach, żądający między innemi zniżenia taksy aptekarskiej za lekarstwa o 20%, oraz dopuszczenie do egzaminu na podaptekarzy tylko tych, którzy ukończą 6 klas gimnazyum. Departament uznaje za potrzebne pozwolić na otwarcie nowych aptek tam, gdzie ludność wzrosła przynajmniej o 5,000 głów. Co do składów materyałów aptecznych, projekt wnosi, ażeby sprzedawano w nich leki niebezpieczne nie inaczej, jak tylko za receptą doktora, poświadczoną przez urząd lekarski, oraz iżby zatrudnieni w składach byli odpowiednio przygotowani.

Poczta. Zatwierdzono projekt nowych przepisów pocztowych o przesyłkach na rachunek odbiorcy. Tym sposobem nawet mieszkańcy wsi będą mogli zamawiać i otrzymywać towary z miast za pośrednictwem poczty.

Nowy urząd nadzorcy technicznego dróg bitych ma być wprowadzony we wszystkich guberniach, najpierw zaś w roku przyszłym w Królestwie Polskiem, oraz gub. kijowskiej, wołyńskiej i podolskiej.

Specyalny komitet utworzono przy ministeryum skarbu w celu opracowania kwestyi rozwoju w Rosyi ubezpieczeń od ognia, opartych na zasadzie wzajemności.

Pet. Wiedomosti donoszą, iż zarząd dóbr państwa w gub. wołyńskiej ma wkrótce zaproponować polubowne zakończenie długoletniego sporu pomiędzy skarbem a spadkobiercami majątków, wziętych pod nadzór w okresie 1794—1840 r. (posiadłości Łaskich, Korewickiej, Potockiego, Zabiełły i innych). Ostrzezenia na majątkach tych poczynione były z różnych przyczyn, które dawno już zostały wyjaśnione i pretensyom skarbu można uczynić zadość bez żadnego sporu. Pomimo to rozstrzygnięcie sprawy przeciągnęło się aż 45 lat. Niektóre z rzeczonych majątków przejdą znów do swych właścicieli, ponieważ motywy znajdujących się na nich ostrzeżeń uznano za niesłuszne.

Zmiana. Nagrody pieniężne, wydawane dotychczas za opracowanie podręczników dla szkół techniczno-kolejowych, będą zastąpione medalami złotymi i srebrnymi, na mocy postanowienia ministra komunikacyi.

Próba palenia ciał wykonana niedawno w specyalnym piecu na cmentarzu Père Lachaise w Paryżu, nie powiodła się. Palenie trwało zbyt długo, zużyło za 20 fr. drzewa, aparat zaś długiego czasu potrzebował do ostygnięcia, zanim go można było użyć ponownie.

Spór o druki. Nowy etnograf Litwy, p. Wolter, w sprawozdaniu przedstawionem petersburskiemu Towarzystwu geograficznemu, podał myśl wydania pieśni litewskich. Nadmienił, że w wydawnictwie tem użyć wypadnie druków łacińskich. Przeciwko temu zaprotestował prof. Kojałowicz, dowodząc, iż niestosowne to w książce, mogącej się rozpowszechnić pomiędzy ludnością krajów ruskich. P. Wolter tłomaczy się w *Pet. Wied.*, że, głosując za drukiem łacińskim, miał na uwadze Najwyższe postanowienie z d. 22 kwietnia 1880 r., na mocy którego cesarska Akademia nauk posiada prawo drukowania prac naukowych języka litewskiego „ogólnie przyjętym alfabetem łacińskim,“ pod warunkiem wszakże, aby prace te nie były rozpowszechniane pośród ludności litewskiej kraju północno-zachodniego (w ten sposób wydano sporo dzieł). Wspomina dalej, że wydawnictwa Towarzystwa geograficznego nie mają na względzie czytelnictwa ludowego, to ostatnie bowiem zasilane jest specyalnemi książkami treści pedagogicznej, nie zaś ściśle naukowej. Wreszcie 8 czy 9 książek wydrukowanych od r. 1865 do 1887 dla litwinów, nie może przeciwdziałać wpływowi trzech gazet litewskich, tylko kalendarzów, całego szeregu książek do nabożeństwa i treści świeckiej, tudzież ogromnej ilości wydawnictw zagranicznych, drukowanych alfabetem łacińskim i *przemycanych* na Litwę.

Za oceanem. Dziennikarz tutejszy, b. redaktor *Gaz. radomskiej*, p. Zygmunt Słupski, osiadł na stałe w Nowym-Yorku. Według słów korespondenta *Kur. warsz.*, założył tam księgarnię wraz z czytelnią, wypożyczalnią książek itd. Księgarnia rozwija się podobno bardzo pomyślnie i na początek podjęła wydawnictwo „taniej biblioteki polskiej.“

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Kr. Kl. w Cz. Naturalnie. Gdyby anglik czytał nasze artykuły, a częścią i książki, nie mógłby pojąć tego systematu drwin. Coraz bardziej nie *nazywamy* rzeczy imieniem właściwem, ale *przezywamy* je. Utworzył się osobny słownik takich przezwisk: Warszawa — gród syreni, stróż — rycerz miotły, dorożkarz — automedon, gospodarz — Amfitrion, mężczyzna — facet itd.

Nieja. Szkoda, że Pan swego napomnienia nie przesłał redakcyi owego pisma.

H. M. Powiastki pańskie nie posiadają zwartości koniecznej w tego rodzaju utworach i wyglądają jak rozdziały wycięte z całości większych. Przy treściwszem obrobieniu „Bal“ byłby obrazkiem ładnym.

L. C. w P. Streszczenia książek dawno wydanych i polskiej publiczności znanych, mogą mieć tylko wartość prywatną.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Ogłoszenia.

Nakład 10.000 egz.

KURYER CODZIENNY

Wydawnictwa rok 24.

najtańsze codzienne pismo polskie większych rozmiarów

wychodzi w Warszawie w dni powszednie wieczorem, w niedziele i święta rano; nadto wychodzą codzienie z wyjątkiem dni poświątecznych BEZPŁATNE DODATKI PORANNE. Czytelnicy warszawscy otrzymują zatem pismo DWA RAZY DZIENNIE.

Współpracownictwo najznakomitszych sił literackich polskich. Obszerny dział informacyjny i najszybsza kronika bieżąca wiadomości miejscowych, prowincyonalnych, z Cesarstwa i zagranicy. Teatr, muzyka, sztuka. Stałe kroniki tygodniowe Bolesława Prusa. Artykuły polityczne, społeczne, ekonomiczne i przyrodnicze. Bogaty urozmaicony fejleton pióra najcelniejszych polskich pisarzy. Ważniejsze głosy gazet ruskich i zagranicznych. Sprawozdania sądowe. Kronika polityczna i liczne telegramy ze wszystkich ognisk życia politycznego. Korespondencye oryginalne z Królestwa, Cesarstwa i stolic europejskich. Telegramy giełdowe, oraz obszerny dział przemysłowo-handlowy. Szarady, logogryfy, zadania szachowe i t. p.

W odcinku Kuryera Codziennego rozpoczęty został w miesiącu wrześniu druk najnowszej powieści Bolesława Prusa z życia Warszawy p. t. **„LALKA.“** Odbitkę wszystkich odcinków tejże powieści, wyszłych do nowego roku, prenumeratorowie otrzymać mogą za dopłatą 15 kop. w Warszawie, a 25 kop. z przesyłką pocztową.

Jako **premium noworoczne** wszyscy prenumeratorowie otrzymają **„Wiązankę,“** zawierającą liczne ilustracye i prace literackie najcelniejszych naszych artystów i literatów.

WARUNKI PRENUMERATY

Kuryera Codziennego wraz z dodatkiem porannym:

W Warszawie:		**Na prowincyi i w Cesarstwie** *łącznie z przesyłką pocztową:*	
Rocznie	rs. **6** kop. —	Rocznie	rs. **9** kop. —
Półrocznie	„ **3** „ —	Półrocznie	„ **4** „ **50**
Kwartalnie	„ **1** „ **50**	Kwartalnie	„ **2** „ **25**
Miesięcznie	„ — „ **50**	Miesięcznie	„ — „ **75**

Za odnoszenie do domu w Warszawie i na Pradze dopłaca się 5 k. miesięcznie.

Przedpłata przyjmuje się tylko na całkowitą liczbę miesięcy od 1-go każdego miesiąca według nowego kalendarza.

Adres: **Administracya Kuryera Codziennego, Warszawa, ulica Trębacka, róg Krakowskiego Przedmieścia.**

Wydawcy: Gebethner i Wolff.

Książek wszelakiej treści w różnych językach oraz **Nut** przez kogokolwiek i gdziekolwiek ogłaszane dostarczają

KSIĘGARNIE M. ARCTA

w Warszawie Nowy-Świat 53 róg Wareckiej i w Lublinie

oraz przyjmują prenumeratę na wszystkie pisma peryodyczne, krajowe i zagraniczne. Katalog bezpłatnie i franco.

Nowe książki wydane nakładem

Księgarni, Składu nut i fortepianów

GEBETHNERA i WOLFFA

Bobrzyński M. Dzieje Polski w zarysie, Trzecie zwiększone wydanie, 2 tomy. Tom I-y z przedpłatą na II gi — rs. 4.

Bykowski J. P. Glinkowie, stara historya starego rodu — kop. 75.

Coste A. Środki zaradcze przeciw nędzy, czyli hygiena socyalna, dzieło odznaczone nagrodą pierwszego stopnia na konkursie J. Perejry w Paryżu 1882 r. Przekład J. Świętochowskiego — rs. 3 k. 60.

J. Antoni Dr. Szkice i opowiadania. Serya V. Treść: Na posterunku.—Samuel Łaszcz.—Iwan Bohun. — Sawa Czalenko. — Djablica.— Starościna Opeska. — Wpływowa kobieta.—Literacka drużyna.—Skromni pracownicy (sylwetki): I. G. Styczyński. II. W. Marczyński. III. H. Jabłoński.—rs. 2 k. 70.

Konopnicka M. Poezye. Serya III. rs. 1 k. 50, w ozd. opr. płóc. rs. 2, z brzegami złoconymi rs. 2 k. 50.

Kraszewski J. I. Król w Nieświeżu 1784 r. Obrazek z przeszłości. — rs. 1.

— Męczennica na tronie. Opowiadanie historyczne. 2 tomy — rs. 2.

Lobe J. C. Katechizm muzyki. Z 22 go wydania niemieckiego przełożył Jan Kleczyński. — k. 75, w ozd. opr. płóc. rs. 1.

Mańkowski A. Dziwak, komedya w 5-u aktach. — kop. 60.

Rapacki W. Bogusławski i jego scena. Widowisko w 5-u aktach. — kop. 75.

Skiba W. Na paryzkim bruku. Powieść.—k. 60.

— Nad poziomy. Powieść. — rs. 1 k. 50.

Zacharjasiewicz J. Nemezys. Z notatek Cesarsko-Królewskiego Radcy.—rs. 1 k. 20.

— Święty Jur. Powieść współczesna. 3 tomy. — rs. 2 k. 40.

Spółka Nakładowa

w grudniu r. b. wyda dzieło p. t.

Ustrój Państw Europejskich

i Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej

przez

Dr. A. OKOLSKIEGO

prof. Uniw. warsz.

Dzieło to, oprócz swej wartości naukowej, dogodzi ważnej potrzebie praktycznej. Ogół polski, nieznający z życia i doświadczenia bezpośredniego wielu urządzeń państwowych świata cywilizowanego, przy czytaniu gazet i doniesień politycznych z zagranicy, natrafia ciągle na wątpliwości i zagadki, utrudniające mu zrozumienie faktów bieżących. Słyszy o izbach, parlamentach, sejmach krajowych, urzędach i działaniach konstytucyjnych, których istota i prawidłowość nie są mu znane. Otóż praca prof. Okolskiego służyć będzie każdemu jako gruntowna przewodniczka, rozszerzająca wiedzę i zaspokajająca chwilową ciekawość, a skutkiem tego dla czytelników gazet politycznych stanie się książką pożyteczną i niezbędną.

Obejmie ona **30 kilka** arkuszy druku i kosztować będzie **w prenumeracie** do 1 stycznia r. 1888 **rs. 2**, po wyjściu zaś — rs. 2 k. 80. Na koszta przesyłki do każdego rubla dołączyć należy k. 10.

Staraniem i kosztem Spółki Nakładowej w pierwszym kwartale roku przyszłego wyjdą również:

Socyologia. dra L. Gumplowicza, prof. uniw. w Gracu, oraz **Wybór pism H. Heinego** w sześciu tomach.

Warunki nabycia tych dzieł wkrótce będą ogłoszone.

Biuro i ekspedycya Spółki Nakładowej **Warszawa, Złota 23.**

Dr. Rostafińskiego Szkice:

O prawie Malthusa w przyrodzie; Nowy zwrot w poezyach Asnyka; Karol Darwin; Noc świętojańska i kwiat paproci; Rośliny owadożerne; O wilkołakach szczególniej świata roślinnego; Zieleń; Owoce; O znaczeniu nazw roślinnych; Roślinność Włoch dziś i niegdyś; Kamelia; Buraki barszcz; Słonecznik; Rosolisy; Jechać czy nie jechać w Tatry — wyszły pod tytułem:

„Ze świata przyrody“

i są do nabycia we wszystkich księgarniach po rs. 2 kop. 40. Tegoż autora:

Botaniki szkolne:

Kurs niższy z tablicą chromolitografowaną i 374 figurami rs. 1 kop. 20.

Kurs wyższy z tablicą chromolitografowaną, 553 figurami oraz tablicą rozsiedlenia roślin rs. 1 kop. 80.

NA GWIAZDKĘ

Spółka Nakładowa poleca:

ŚWIATEŁKO

książkę dla dzieci, napisaną zbiorowo przez grono autorów polskich. Najlepsza w tym rodzaju w literaturze polskiej.

W ozdobnej oprawie z drzeworytami w tekście, str. 274. Rs. 1 kop. 80.

SZKICE i OBRAZKI

Bolesława Prusa (Aleksandra Głowackiego),

tomów cztery, z portretem autora.

Cena rs. 5, w ozdobnej oprawie rs. 6 k. 20.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 4 Декабря 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.